Miłość po szkocku. W Poznaniu.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Poznańskie Stare Miasto

Anna Habryn

Rozdział 6

Poznań był zupełnie inny niż Warszawa. Stary, dziewiętnastowieczny. Wojna go widać nie zniszczyła. Wyglądał jak Chicago: miał szerokie ulice, małe, stare domy stały ciągle wzdłuż ruchliwych głównych arterii, a na jezdniach królował raczej transport publiczny, jak Mary miała się przekonać, dobrze działający i tani.

Niektóre ulice, z zieleńcami przy blokach mieszkalnych, z pralniami z boku, przypominały czynszowe kamienice Glasgow, tyle, że tutaj wszystkie mieszkania miały balkony, metr na dwa, niektóre wystawiające na pokaz obfitość kwiatów, inne z praniem udrapowanym na balustradach. Niższe balkony otoczone bywały drutem kolczastym, jak powiedziała jej później Seweryna, siotra Jana, przeciwko włamywaczom. Psów była masa, ale wszystkie w kagańcach. Kwiaty były wszędzie, na każdym rogu uliczni handlarze sprzedawali kwiaty. I – nie wiadomo dlaczego – sprzedawali też świece wszystkich kształtów i rozmiarów. Wszystko to Mary notowała sobie w myślach, żeby opowiedzieć Janowi. Zresztą, zanim mogła rozejrzeć się lepiej, była na miejscu.

Taksówka zatrzymała się przed wielkim blokiem. Mary wzniosła właśnie oczy ku niebu: – jak na litość boską mam znaleźć właściwe mieszkanie?, kiedy od strony kierowcy pojawiła się wysoka, szczupła kobieta, zadała jakieś pytanie, szofer odpowiedział: “tak, tak”, i wtedy Mary zobaczyła ją, Sewerynę. Duża, przystojna, choć niemłoda blondyna objęła ją ramionami powtarzając: *“Mari, Mari”.*

– Udało mi się! – prawie nie mogła uwierzyć.

Szczupła pani to była Dorota, sąsiadka, która mówiła po angielsku. Niestety, mogła pozostać z nimi tylko dwie godziny, odlatywała bowiem do Londynu, w interesach.

– Proszę, witaj w moim domu – powiedziała Seweryna.

Proszę i *dom* Mary zrozumiała, *witaj* będzie musiała sprawdzić później w swojej biblii – słowniku, który stale ściskała w garści niby paszport.

Dom Seweryny zapraszał, stół był zastawiony, były kwiaty i świece, wino i lśniące kieliszki. Było gorąco, może ze 30 stopni, toteż duże okna były otwarte i prezentowały całą piękną wystawę kwitnących w skrzynkach kwiatów. Salonik był przytulny. Na podłodze leżał bogaty, czerwony dywan. Ładna, duża szklana szafa z solidnego drzewa pyszniła się skarbami całego życia gospodarzy. W oknach wisiały piękne koronkowe firanki, a nakrycia poduszek na sofie były robione szydełkiem, tak samo jak śliczny koronkowy sweterek, w który była ubrana gospodyni. Mary rozejrzała się po ścianach: wszędzie reprodukcje świętych obrazów, szczególnie eksponowany papież Jan Paweł II.

Kuchnia była malutka, ale urządzona starannie, pełna słoików z przetworami. Mary poznała wypłowiały ręczniczek z kangurem, wiszący na ścianie – to był podarunek od Jana, sama go kiedyś wybierała w sklepie.

Do sypialni Seweryny wchodziło się z kuchni. Sypialnia była dosyć duża, ale gdyby nie olbrzymie drewniane szafy, byłoby tu jeszcze jakieś dwa metry przestrzeni ekstra. Toaleta była oddzielona od łazienki. Mary zadecydowała, że od tej chwili będzie jej się podobało wszystko, bo czuła się swojsko i to było najważniejsze.

Otworzyła swoją torbę z podarunkami ze Szkocji. Nie miała w niej nic z Australii, bo w Australii nie myślała jeszcze o wizycie w Polsce. Przywiozła więc Sewerynie kruche ciasteczka, tradycyjne szkockie herbatniki, figurkę Potwora z Loch Ness. Wyciągnęła też szal w szkocką kratę i owinęła gospodyni dookoła szyi mówiąc: “zima”. O, Mary znała nazwy pór roku i dni tygodnia po polsku, umiała też liczyć do dziesięciu, toteż jeśli zdarzyło jej się znać jakieś słowo, używała go z radością i bez względu na gramatykę. Seweryna – niestety – nie chciała próbować angielskiego, a szkoda, bo wiele słów było całkiem łatwych, podobnych w obu językach.

– Kawa, herbata?

Seweryna miała piękną opaleniznę, w złotym odcieniu, żadnego makijażu. W jej włosach, teraz siwych, przebijały pasma naturalnego koloru blond. Była postawną kobietą, i zachowywała się całkiem jak Jan, ruchy jej oczu i rąk były podobne. Mary aż trudno było uwierzyć, że upłynęło 59 lat, od kiedy Seweryna ostatni raz widziała swojego brata. Można by pomyśleć, że przeszli przez życie razem. Mary widziała kiedyś jej fotografię jako kilkunastoletniej dziewczyny, Seweryna była wtedy piękna.

Zostać wywiezioną do Niemiec w wieku czternastu lat, to musiał być dla niej koszmar, dla jej matki też. Ale nie chciała wiele mówić o latach wojny. Powiedziała, że Rosjanie byli tak samo źli, potem temat został zaniechany.

Krzątając się po kuchni przy kolacji, Seweryna widocznie była szczęśliwa, bo śpiewała.

– Janek *syng*?

– Nie, nie, *just* „Marsz, marsz Dąbrowski”.

Seweryna roześmiała się.

– Janek taniec?

– Nie, nie, *Severina*.

Władysław Kolecki – pierwowzór Jana Rogackiego, bohatera powieści Anny Habryn „Miłość po szkocku” i jego pasierbica Mary, Perth, Australia.

Polska kolacja była za ciężka na jej żołądek. Kawa miała smak piasku, herbata była słaba, wino było smaczne, ale Mary spróbowała tylko trochę i pozostała przy wodzie. Gospodyni była naprawdę dobrą kucharką, jak zwykle Europejczycy, ale już następnego dnia próbowała zmusić Mary do jedzenia trzech posiłków dziennie. Mówiła:

– *Mari* chuda, Seweryna gruba.

Mary wiedziała, że „gruba" znaczy *fat*, a domyśliła się z jej bardzo opisowych gestów, że „chuda" znaczy *thin*. Porozumiewały się jak Robinson Crusoe z Piętaszkiem.

Mieszkanie mieściło się na półpiętrze (Seweryna została pewnie przez władze kwaterunkowe potraktowana ze specjalnymi względami z powodu swojej chorej nogi – myślała Mary) i miała widok na aleję drzew, a dalej na miejscowy park. Przez następne dwa dni Mary spacerowała po nim, albo po prostu siedziała na ławce obserwując zwykłych ludzi, ciężko pracujących, nie bardzo różniących się od ludzi gdziekolwiek indziej na świecie, i dobrze.

Sierpniowe wieczory były ciepłe i pachnące. Łóżkiem Mary była kanapa, która rozkładała się całkiem zmyślnie. Mogła leżąc na niej oglądać telewizję, w której nadawano często angielskie programy, z polskimi napisami. Seweryna pisała wieczorami długie listy do Jana, żeby Mary zabrała je do Australii. Noce były krótkie, mrok zapadał około 10-tej wieczorem.

W piątek po kolacji Seweryna zadzwoniła do swojej starszej siostry Zofii i oznajmiła, że odwiedzą ją jutro, w sobotę, *tomorrow.* Mary nie mogła długo zasnąć. Myślała, że musi jutro wysłać Janowi kartkę z Poznania. O tylu rzeczach chciała mu powiedzieć… Rano Seweryna wstała wcześnie. Poszły po świeży chleb. Pobliskie sklepy były podobne do australijskich, sprzedawały wszystkie niezbędne rzeczy, ale na pewno nie były nawet w przybliżeniu takie duże, jak australijskie. Bogactwa nie było widać, tak samo jak biedy.

Śniadanie było zawsze dużym posiłkiem, dla biednej Mary niemożliwym do skonsumowania. Seweryna miała dobry apetyt.

Kiedy naczynia zostały pozmywane, a łóżka pościelone, wyszły w poranne słońce. Przy sobocie centrum Poznania roiło się od ludzi. Jechały dwoma autobusami i obejrzały trochę miasta. Miejscowy targ był interesujący, masa świeżych owoców i jarzyn: czerwona kapusta, buraczki.

Znowu kwiaty, wszędzie sprzedawano śliczne kwiaty, więc kupiła duży bukiet dla Zofii. Seweryna kręciła głową z dezaprobatą na temat wydawania przez Mary pieniędzy. Nie pozwoliła Mary zapłacić za taksówkę na ostatnim etapie ich podróży do Zofii. Mary za to zapłaciła za taksówkę do domu w nocy, wracały bowiem zbyt późno, żeby skakać z autobusu na autobus. Siostry Jana mieszkały w sporej odległości od siebie.

Przyjęcie u Zofii było równie miłe, jak u Seweryny. Jak na jej wiek, była to bystra kobieta, bardzo interesująca, ciągle piękna, z oczami, które wydawały się przewiercać Mary na wskroś. Nie dałaby się nabrać nikomu. Była tam też pani o nazwisku Mary Hoffman, Żydówka, kobieta nieco starsza od Mary, żona lekarza. Mówiła ona dobrze po angielsku i miała być tego dnia ich tłumaczem. Z Zofią mieszkała również jej pielęgniarka, młoda, ładna kobieta, na imię miała… Zofia. Siadły więc do rozmowy: dwie Zofie i dwie Marie.

To mieszkanie – one na wszystko mówiły „dom” – było bardzo ładnym, drogim apartamentem. Stół znowu uginał się pod potrawami tradycyjnej polskiej kuchni. Była i wiśniówka, którą Mary zaczęła uważać za wódkę tak polską, jak szkocka była whisky.

Mary miała jakieś pamiątkowe drobiazgi również dla Zofii. Dostała w rewanżu polską lalkę w tradycyjnym stroju, łatwą do przewiezienia, śliczny prezent. Od Seweryny miała już podarunki równie piękne: była to paczka dla Jana i dwa kryształowe wazony, jeden dla Mary, drugi dla Mandy. Ten dla Mary był opleciony dookoła wzorem koloru bursztynu.

Młoda Zofia nie umiała po angielsku, ale jej oczy wyrażały wielką radość z obecności gościa. Mary Hoffman zaś powtarzała, jaka to z Mary odważna młoda kobieta. Młoda! – to Mary rozśmieszyło.

– Mam 62 lata! – powiedziała z dumą.

Przez następne kilka godzin zadawały pytania – i opowiadały.

– Zofia była kiedyś bardzo zdolną i przedsiębiorczą kobietą. Podczas wojny – powiedziała Mary – tłumaczka – Zofia miała swój własny sklep rzeźniczy. Jakoś potrafiła pomagać wielu ludziom, takim jak ja. Pewnie nie możesz sobie wyobrazić, że czasem ratuje się komuś życie dając mu kości i tłuszcz na zupę.

– Mogę sobie wyobrazić – powiedziała Mary.

Dzieci Zofii wszystkie zrobiły zawodową karierę. Seweryna natomiast nigdy nie została pobłogosławiona dziećmi. Jej mąż, chociaż nie znała go jeszcze wtedy, był w ruchu oporu. Nie chciały powiedzieć nic więcej, choć Mary miała nadzieję na jakąś bohaterską opowieść. Wyglądało na to, że nie całkowicie jej ufają. Kiedy zapytała, czy Jan jako chłopiec był „dobrze *boy*", zajęły pozycję obronną. Żadnych żartów, w tej rodzinie zachowywano absolutną lojalność wobec dawno utraconego brata.

Zofia zaskoczyła Mary pytaniem:

– Dlaczego twoja matka nie pozwoliła Jankowi przyjechać do Polski na urlop?

Mary nie miała zamiaru bronić swojej matki, ale chciała pozwolić im myśleć, że Jan był w miarę szczęśliwy w życiu na obczyźnie. Gdyby chciała powiedzieć zupełną prawdę, musiałaby wyznać, że jedyną osobą, która dawała Janowi szczęście, była jego córka, Sandra.

Ale one były podejrzliwe. Któryś z siostrzeńców Jana odwiedził Adelaide w Południowej Australii 12 lat temu i zadzwonił stamtąd do Sheili prosząc do telefonu Jana. Matka odmówiła, powiedziała, że Jan leży chory, jest starym człowiekiem i nie może jechać na wakacje, a w ogóle są na to za biedni.

Mary przypomniała sobie, że słyszała o tym telefonie. A teraz przyciskano ją do muru. Przecież nie mogła im powiedzieć: moja matka lubiła mieć całkowitą kontrolę nad Janem. Jedyny raz, kiedy jej mąż okazał silną wolę i postawił na swoim, to było wtedy, kiedy na horyzoncie, to znaczy w Londynie, pokazał się jego brat, w 1952 roku. Matka musiała się wtedy ugiąć, rzucić kochanka i wrócić do męża. – Do końca wam tego widać nie wybaczyła. A może też bała się, że Jan znowu zrobi jej jakąś niespodziankę?

Jak im to miała wyjaśnić? Lepiej było uniknąć odpowiedzi i zmienić temat. Na szczęście miała ze sobą kasetę wideo. Jeden z kuzynów w Anglii miał film z Sandrą, zrobiony w 1986 roku, dobry film rodzinny, z kilkoma ujęciami, w których widać było Jana. Mary pożyczyła tę taśmę, żeby rodzina Jana mogła ją obejrzeć.

Przeszły wszystkie do bawialni i siadły przed telewizorem. Młodsza Zosia wprost nie mogła się doczekać, żeby obejrzeć autentyczne życie w Australii. Na filmie uwieczniono baseny kąpielowe, pokoje do gier ze stołami do bilardu, łodzie… cały ten styl życia naprawdę wydawał się bardzo komfortowy, nie sfilmowano niczego wyglądającego ubogo. Ale starej Zofii, jak wytrawnemu psychologowi, nie umknęło nic. Nie podobał im się brat Mary, Wilson. Był bardzo przystojny, orzekły, podobny do matki, ale nie zachowywał się naturalnie, ani nawet grzecznie: ciągle wpychał swoją twarz przed obiektyw. Matkę też poddały ścisłej analizie, szczególnie kiedy zobaczyły, jak niełaskawie próbuje odepchnąć od siebie Jana. Biedny Janek. Kiedy oglądały te właśnie sceny z Janem, płakały, śmiały się i machały do niego! Wszystko to wydawało się Mary nieco zwariowane, ale przecież oto pierwszy raz w życiu mogły zobaczyć swojego brata w Australii: chodzącego, śmiejącego się, wsiadającego i wysiadającego ze swojego samochodu, z jego piękną córką Sandrą.

Mary była zupełnie szczęśliwa. Wiedziała już, że jej przedsięwzięta bez zastanowienia podróż do Polski miała sens.

Ofiarowała im tę kasetę jako drogocenny podarunek. Powinna była ofiarować im ich brata, a nie tylko jego obraz, ale to była jedyna rzecz, jaką mogła zrobić, małe zadośćuczynienie za to, że nie pomogła Janowi wcześniej w jego życiu.

Godziny upływały. Zdaje się, że wszystkie cztery były już bardzo zmęczone. Ale wyciągnęły jeszcze rodzinny album ze zdjęciami. Więc Mary zobaczyła matkę Jana, i ojca.

– Podobny jak dwie krople wody – wykrzyknęła, a one się zgodziły. Zobaczyła ich ładny dom na wsi, porządny, ceglany, piętrowy dom. Mieli kilka akrów ziemi, o których Jan opowiadał narzekając, że musiał na nich pracować po przyjściu ze szkoły. Mieli mały sad, gruszki i jabłka, ale głównie warzywa. Ich życie – mówiły – jak życie większości Polaków, zostało wywrócone do góry nogami przez hitlerowców.

Rodzina nie wiedziała, czy Jan żyje czy nie, aż do roku 1947. Kiedy się dowiedziały, że *Błyskawica* wróciła do kraju, były zadowolone, że Jan został w Szkocji, najważniejsze, że żywy i bezpieczny. Mary słuchała, co mówią i czuła, że to wciąż nie była odpowiednia chwila, żeby sugerować im coś przeciwnego. Nie chciała oświecać ich więcej jak tylko mówiąc, że jej matka była samotną kobietą z dwojgiem dzieci. Zapytały, czy ich ojciec zginął w akcji. Nie mogła się pochwalić – w ich życiu nie było bohaterów wojennych – przed Janem!

Chciały dowiedzieć się wszystkiego o 50-ciu latach w jeden wieczór. Mary padała już z wyczerpania, trzeba było zakończyć ten wieczór. Niełatwo było jednak powiedzieć gospodyniom: żegnajcie.

Czuła się zaszczycona, że jest częścią ich życia i że łączy ich ten brat, którego nigdy nie zapomniały, jej polski ojciec. Cichy, poniżany, skromny człowiek, trzymany w izolacji, z daleka od tych niewielu ludzi, których znał i kochał.

Rzeczy miały się zmienić, powoli, ale na pewno. Wierzyła, że ta jej podróż do Polski będzie początkiem tej zmiany.

Poznań

Następnego dnia, niedzieli, Mary oczekiwała z ciekawością. Miały z Seweryną iść do kościoła, a potem na cmentarz. Ale przedtem były “Wiadomości Poranne”. Seweryna włączyła radio i krzyknęła, wyraźnie wytrącona z równowagi.

– Diana, Diana zabita!

– Nie, musiałam jej nie zrozumieć – pomyślała Mary zupełnie zdezorientowana. Ale nie potrzebowała wyciągać swojej „biblii – słownika”, bo właśnie podawano tę wiadomość w telewizji, a obrazy mówiły same za siebie.

Poczuła, że trzęsie się ze zdenerwowania: jak to się mogło stać? Jak to możliwe, to nie fair! *Cinderella* nie może umrzeć, bajki się po prostu tak nie kończą, prawda? Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Diana bawiła w Paryżu, była chroniona, kochana, bogata, miała wszystko. I zginęła. Mary zaś była w Polsce – i nagle poczuła się niepewnie. Tak chciałaby się wypowiedzieć, wyrazić grozę, po prostu pomówić z kimś!

Kościół był wypełniony po brzegi. Kiedy wierni pogrążeni byli w głębokiej modlitwie, Mary myślała o Williamie i Harrym, synach Diany, a potem modliła się za swoją własną rodzinę, nie wiedzącą, gdzie ich matka przebywa.

Śmierć Diany uprzytomniła jej nagle niebezpieczeństwa, na jakie wszyscy ludzie – i ona też – są w życiu narażeni. Samoloty, pociągi, samochody, wszystko takie kruche.

Nie rozumiała obrządku, ale był on pełen patosu. Trzydziestu chłopców w chórze śpiewało do wtóru takiemu rytuałowi przy ołtarzu, że Mary, zafascynowana, zapomniała na chwilę o wiadomościach ze świata. Seweryna przyjęła komunię. Dookoła przesuwali się ludzie, starzy i bardzo młodzi, Mary badała ich twarze: te starsze miały w sobie coś mizernego, nie głód, ale czujny, błagalny wyraz, jak gdyby ci ludzie ciągle żyli w przeszłości, albo rozpamiętywali jakieś przeżyte okropności ciągle na nowo. Mary była pewna, że to nie był tylko wytwór jej fantazji. Była przekonana, że ich rozumie. Myślała z głębokim współczuciem:

– Nie mają zwyczaju wypowiadać się swobodnie. Przejeżdżający obok samochód policyjny przyprawia ich o niepokój. Minie jeszcze wiele lat, zanim będą wypowiadać się tak, jak my to robimy w Australii. Starzy ludzie zawsze patrzą pod nogi. Na pewno to też pozostało im z przeszłości, kiedy chodzili obawiając się o swoje życie. Takie wyrzeczenia, taki ciężar, znoszenie jednego nieprzyjaciela po drugim, myślę, że trzeba następnego pokolenia, żeby ich rany się zabliźniły.

Wyszły z kościoła, kupiły sobie zimny napój i lody i wsiadły w następny autobus, który zawiózł je na cmentarz. Wyglądało na to, że kiedy ludzie w Polsce wybierają się na piknik, wszyscy idą na cmentarz. Mary żałowała, że nie może zrozumieć napisów na nagrobkach i na tych pomnikach sięgających w niebo. Dużo tu leżało młodych ludzi, zmarłych w 1986, 87, 90, 91, zapytała, dlaczego?

– Piloci, bum, samolot niedobry – zrozumiała: zła konserwacja, polscy piloci, rosyjskie samoloty.

Mąż i matka Seweryny byli pochowani obok siebie. Grób Stanisławy Rogackiej był skromny w porównaniu z grobem męża Seweryny, ale oba dobrze utrzymane. Mary pomogła kupić kwiaty, Seweryna kupiła świece. Teraz zrozumiała, po co sprzedawano świece.

Seweryna odprawiła zwyczajowy rytuał: najpierw omiotła groby, potem je odkurzyła. Kazała Mary iść po wodę, *water*, po którą idąc trzeba było manewrować ostrożnie i z godnością między grobowcami. Wodę pompowało się ręczną pompą. Cieszyło Mary, że jest częścią tej kultury, i miała świadomość, że uczestniczy w tym jedyny raz w życiu. Więc pompowała tę wodę, jak normalna polska *pani.* Seweryna wylała część wody na groby, umyła je, reszta była potrzebna do kwiatów. Jej mąż nie żył od piętnastu lat, matka od dwudziestu, a groby ciągle były tak szanowane, jakby to wszystko było wczoraj. Kiedyś wyjaśniono Mary, że w Polsce obchodzi się dzień pamięci wszystkich zmarłych, 1-go listopada. Z tego, co widziała w tamtą niedzielę, wynikało, że ludzie w Polsce nigdy nie zapominają, gdzie spoczywają ich bliscy.

Był w Polsce jeden taki obyczaj, który obserwowała z zazdrością: rzucał się w oczy szacunek, jaki młodzi okazywali starszym. Miło było obserwować ich maniery i troskliwość, szczególnie w środkach publicznego transportu. Pomagali starym ludziom chętnie. Mary nigdy nie widziała, żeby młoda osoba siedząca w autobusie nie wstała, jeśli wsiadał jakiś starszy mężczyzna czy kobieta. Wydawało jej się, że to nie tylko dobre maniery, ale uczciwy, prawdziwy szacunek dla starszych, coś z czym się nie spotkała nigdzie indziej na świecie.

Nie widziała dookoła żadnych licznych rodzin. Dwoje lub troje dzieci wydawało się właściwą liczbą. W polskiej sytuacji kontrola urodzin musi być sprawą dramatyczną dla dobrych katolików. Bo to jest świat katolicki. Na papieża Jana Pawła II patrzy się jak na zbawcę Polski, a następny z kolei jest Lech Wałęsa, laureat nagrody Nobla, ojciec całej gromady dzieci.

Jechały przez peryferie Poznania, bezbarwne, miejskie dzielnice. Getta czynszowych budynków, identyczne egzemplarze cementowych bloków. – W Glasgow – przypomniała sobie Mary – próbowano tego po wojnie, ale dwadzieścia lat później zaczęto to burzyć. Ludzie chcieli od życia więcej, emigrowali do Kanady i Australii, które obiecywały przestrzeń i radość życia. Ktoś wkrótce położy kres tym potwornościom budowlanym. Widać przecież, że ludzie tu czynią wysiłki, żeby wprowadzić w swoje życie naturę: parki, drzewa, kwiaty. Jakoś w końcu urozmaicą monotonię tych wysokościowców.

W tę niedzielę Seweryna zabrała Mary jeszcze do Ratusza, wspaniałego budynku

stojącego na kwadratowym placu, brukowanym kamieniami i podobnym do placów Edynburga albo Paryża. Zdobiły go stragany kwiatów. Turyści i miejscowi, wszyscy zgromadzili się, żeby oglądać, jak zegar na wieży wybija godzinę dwunastą. Z wybiciem zegara, w środkowej z trzech wieżyczek wyłoniły się dwa drewniane koziołki, skinęły tłumowi w dole, zwróciły się ku sobie, stuknęły rogami, raz, drugi, trzeci…. Ludzie głośno liczyli uderzenia. To przedstawienie trwało niecałą minutę. Dzieci się śmiały, trzaskały aparaty fotograficzne.

W poniedziałek Mary powiedziała Sewerynie:

– Nie, nie *more cooking* – dosyć gotowania. Zrozumiała.

W jakiejś pełnej urzędów dzielnicy Poznania znalazły miłą restaurację. Mary zamówiła "ryba", bo wiedziała, że to *fish*, Seweryna zjadła to samo, z sałatą, obie piły też polskie piwo. Owszem, było dobre. Kelner oczywiście również usłyszał całą historię o Mary. Ręce Seweryny były bardzo wymowne, jak u Włochów, Mary zafascynowana obserwowała ich gestykulację. Była pewna, że stanowiły śmieszną parę, kiedy tak machały rękami, pokazując sobie to lub tamto. Wróciły do domu o czwartej po południu. To tutejsze lato przypominało australijskie. Było ciągle gorąco i ani kropli deszczu. Mary wyciągnęła się na kanapie, a Seweryna poszła do kuchni. Niespokojna, po kilkunastu minutach Mary zajrzała do niej i… nie wierzyła własnym oczom: Seweryna zaczęła przygotowywać następny, wieczorny posiłek! Nie było na nią rady. Zdesperowana, usiłując spalić nieco kalorii, Mary zasugerowała miły, wolny spacer.

Seweryna podpierała się laską. Jej prawa noga była wiele razy operowana z powodu gruźlicy kości. W 1948 r. Jan posłał jej przez Czerwony Krzyż trochę penicyliny i ten antybiotyk uratował jej nogę. Dlatego czuli się jeszcze bardziej związani ze sobą. Jej miłość do niego była zresztą zawsze silna, podobno od dzieciństwa.

Było bardzo późne popołudnie. Młode matki pchały wózki ze swoimi dziećmi, a dzieciaki wszystkie wyglądały krzepkie i bardzo zadbane. Parki były pełne ludzi, młodych i starych, cieszących się tropikalną pogodą. Wracając mijały bardzo ładne, staroświeckie domy z wysokimi dachami. Ich drewniane drzwi z zasuwami były otwarte, żeby wpuścić nieco świeżego wieczornego powietrza. W ładnych ogrodach warzywnych, jabłonie i grusze sypały owoce na ścieżki. (…)

Wróciwszy do domu, Seweryna zagotowała i zabutelkowała owoce i odstawiła je na zimę, aby nic się nie zmarnowało. Mary patrząc na to pomyślała o Szkotach. To oszczędna rasa. Powiadają oni: – Bądź rozważny dzisiaj, bo jutro możesz potrzebować. Nie wyrzucisz, nie będzie ci brak. Seweryna była zapobiegliwa jak Szkotka. (…)

W czwartek rano, o szóstej, Mary miała wracać do Warszawy. Smutno jej było opuszczać Sewerynę teraz, kiedy już zaczynały zupełnie dobrze się porozumiewać.

O 4.45 rano Seweryna była na nogach, jak skowronek, usiłując zmusić Mary do zjedzenia śniadania.

– Co ona tam pitrasi w kuchni? Oczywiście: hamburgery, troskliwie owinięte w srebrną folię, do zjedzenia w pociągu. Poza tym, dała Mary butelkę wody święconej z wizerunkiem Madonny, i drugą, małą buteleczkę dla Mandy.

Cudowna była ta troskliwość Ciotki Seweryny.

Przybyły na stację mając w zapasie dużo czasu. Seweryna uparła się, że wsadzi Mary do przedziału. Inni pasażerowie spokojnie czytali swoje poranne gazety. Mary chciała się po prostu wtulić w swoje siedzenie przy oknie i przemyśleć ten czas spędzony w Poznaniu, ale Seweryna krzątała się dookoła jak kwoka z kurczęciem.

Rozległ się gwizdek. Mary uśmiechała się i błagała ją w duchu: – Seweryno, proszę cię, wracaj na peron. Było jej smutno: czy jeszcze kiedyś zobaczy tę dzielną kobietę?

Pociąg ruszył. Obie miały łzy w oczach.

Patrząc potem na przesuwający się za oknem krajobraz, Mary myślała o tym ostatnim tygodniu spędzonym wśród obcych, a tak gościnnych ludzi. Czy udało jej się rozjaśnić ich życie, czy powiedziała im wystarczająco dużo, czy im się spodobała? Cóż, przynajmniej próbowała. W ciągu jednego tygodnia Seweryna dowiedziały się o swoim bracie więcej, niż w ciągu poprzednich pięćdziesięciu długich lat. Mary zrobiła, co mogła.

Rozdział 7 ukaże się w poniedziałek 22 maja 2017 r.

Miłość po szkocku. Podróż do Polski.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Polski krajobraz

Anna Habryn

Rozdział 5

Mary miała zaproszenie do Anglii, na wesele. Właśnie załatwiała sobie rezerwację biletu na pociąg, kiedy wpadło jej w oko: „Lot do Polski po obniżonej cenie”. A może by…? Czy starczyłoby jej odwagi? Problemy językowe skomplikują sprawę, poza tym siostra Jana, Seweryna, pisała, że wyjeżdża na wakacje nad Bałtyk, ale tak czy inaczej, Mary przecież miała w torebce jej numer telefonu!

Była świadoma, że jej zasób polskiego słownictwa nie wystarczy, żeby załatwić cokolwiek przez telefon, ale ten problem można było rozwiązać. W Kirkcaldy była duża grupa Polaków, a Jan był tam kiedyś dość znany i lubiany. Mary poszła więc do polskiego klubu w nadziei, że ktoś tam sobie jej ojca przypomni.

Wszystko tu wyglądało jak dawniej. Wróciły wspomnienia: zobaczyła oczyma wyobraźni Jana, młodego, wesołego mężczyznę przy karcianym stoliku, pijącego z innymi wiśniówkę. To był bardzo patriotyczny klub, bardzo polski. Na wysokim maszcie przed budynkiem powiewała – tak jak dawniej – polska flaga, na

cementowym postumencie rozpościerał skrzydła Biały Orzeł. Pod pomnikiem generała Sikorskiego, jak przed laty i jak zawsze, stał w wazonie bukiet białych i czerwonych kwiatów.

Poszukała kierownika, przedstawiła mu się. Wyjaśniła, że chciałaby pojechać do Poznania, do ciotki, ale nie dogada się z nią przez telefon, chociaż ciotka zna jej głos, więc może on zechciałby porozmawiać w jej imieniu?

– Ależ to żaden problem, proszę pani.

– Oh, bardzo panu dziękuję – powiedziała.

Ta rozmowa telefoniczna była zabawna i bardzo kosztowna. Seweryna była w domu. Mary odezwała się pierwsza, przedstawiła się, a potem oddała słuchawkę „tłumaczowi". Powtarzał jej głośno po angielsku, co po tamtej stronie mówiono po polsku, a wszyscy klienci baru słuchali tego z wielkim zainteresowaniem. Gospodarz brylował w roli tłumacza, błyszczał elokwencją i po jakichś dwudziestu minutach Mary wreszcie była pewna, że Seweryna przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Z Manchesteru miała lecieć do Amsterdamu, a potem do Warszawy.

Gorączkowo usiłowała nauczyć się trochę więcej polskiego. W każdej wolnej chwili wypisywała ze słownika polskie słówka i ich angielskie odpowiedniki.

Jej rodzina w Anglii uważała, że Mary zwariowała. Co będzie, jeśli wsiądzie do niewłaściwego samolotu? Czy będzie umiała zatelefonować? Im bardziej byli negatywnie nastawieni, tym bardziej Mary się utwierdzała w swoim postanowieniu. To była jej szansa sprawdzenia się.

Tak czy inaczej, było już za późno na wątpliwości, jej podróż do Warszawy była opłacona. (…)

.Dwie godziny przed odlotem, była naprawdę w drodze do Polski.

Mary siedziała blisko kabiny załogi. Samolot nie był pełny. Lot miał trwać trzy godziny, niedługa podróż. Wyjęła swój polski słownik i zaczęła wypisywać wszystkie te podstawowe słówka, których będzie musiała użyć: bilet, proszę, itp.

Stewardessa zapytała:

– Skąd pani pochodzi?

– Z Australii – odpowiedziała Mary – ale z urodzenia jestem Szkotką.

– O – ucieszyła się – nasz pilot jedzie do rodziny w Australii. Do Perth, czy pani tam była?

– Mieszkam tam.

Stewardessa zniknęła i wróciła z butelką szampana.

– Dziękuję – rzekła Mary – czy mogę ją zabrać do mojej ciotki w Poznania?

– Damy pani drugą. Kapitan chciałby z panią porozmawiać.

Czuła na sobie oczy wszystkich pasażerów, kiedy dziewczyna prowadziła ją do kabiny załogi. To było naprawdę podniecające. (…)

Zniżali się do lądowania. Miała wylądować na polskiej ziemi!

Na prawo od skrzydła samolotu pojawił się napis: WARSZAWA. Pięknie czerwony i biały, wspaniały, aby widzieli go wszyscy wracający synowie Polski. Och, gdyby Jan mógł być tu razem z nią! Włożyła w patrzenie całe serce, musiała ten moment wchłonąć, żeby przekazać go staremu człowiekowi, jej ojcu, tam w Perth. (…)

W taksówce, była już sama. Przejechali Wisłę. Ulice wydawały się Mary podobne do Paryża, podobały jej się ozdobne budynki. Jakieś muzeum przypomniało jej Edynburg. Ludzie wyglądali na zdrowych i zabieganych. Młodzi ludzie, szczególnie nastolatki, byli na ogół jasnowłosi, dobrze zbudowani, a dziewczęta miały w sobie coś bardzo polskiego, cokolwiek to było, wyglądały inaczej niż Australijki czy Szkotki, były bardzo kobiece, pięknie opalone, o złotej skórze.

Dworzec kolejowy wydawał się tkwić w środku wielkiej przelotowej arterii. Mary zapłaciła kierowcy 30 złotych, co – pomyślała – było tanio, *cheap*, i udała się prosto na stację. Wszystko wydawało się takie proste. (…)

Pociąg był śliczny, czysty, wygodny, dla niepalących. “British Railways, uczcie się od Polskich Kolei”. Jan mówił jej, że w Polsce mieli wspaniałe pociągi, ale – Boże, to było w 1938. “Widocznie pociągi są tu ważną rzeczą, skoro koleje dorównują ciągle wspomnieniom Jana.”

Czuła się trochę zmęczona, ale zdecydowanie nie zamierzała spać. Podano gorącą herbatę i kawę. Wybrała to drugie, a do tego polskie ciastko. Za darmo. Była naprawdę pod wrażeniem. (…)

Polski kajobraz

I oto nareszcie została cudownie pozostawiona sam na sam z krajobrazem. Mijali osobliwe miejsca, chłopi na polach czasem podnosili spojrzenie na przejeżdżający pociąg. Trwały żniwa, koszono pola. Nie widziała wspaniałej żniwnej maszynerii, jaką mają farmerzy w Australii. Widziała natomiast konny zaprzęg i starego chłopa idącego za pługiem. Widziała traktory, ale na polach było dużo więcej ludzi w porównaniu do tego, co widzi się w Australii.

Pociąg zwolnił bieg, mijając jakąś bocznicę kolejową, pełną starych wagonów towarowych. Mary poczuła nagle, jakby się cofnęła w czasie o 50 lat. Gdzieś w jej

pamięci tkwiło ciągle bardzo żywe dziecięce wspomnienie Polski z wojennych kronik filmowych. Były tam właśnie wagony, stare wagony o drewnianych ścianach, takie jak te, ciągle jeszcze tkwiące na jakichś bocznych torach. W jej pamięci uwoziły one ze stukotem ludzki ładunek, trzymany przemocą, uwięziony w skrzyniach na kołach. Ich przeznaczeniem było piekło. Wyobraźnia – raz pobudzona – nie dawała Mary spokoju. Patrzyła przez szybę jak urzeczona. Nie śniła, czuła w przestrzeni za oknem duchy unicestwionych ludzi, ciągle nie mogące spocząć, błąkające się dookoła. Widmowo przepływały za oknem wioski budzone w środku nocy, czuła ich strach, brzmiało echem wołanie o pomoc, którego nie chciano słyszeć. Pięć długich lat podporządkowanych "diabłom z Niemiec". Te myśli ciągnęły się, kilometr za kilometrem. Ta ziemia była tak płaska, tak łatwo dostępna dla czołgów, ciężarówek, nawet rowerów. Warszawa była dokładnie na drodze na wschód, w prostej linii od Berlina.

Chyba usnęła. Obudziła się, kiedy dojeżdżali do Poznania. Teraz domy były podobne do przedmieść Paryża lub Szkocji. Widziała stare kamienne budynki, domki dla robotników, które wytrzymały próbę czasu. Nowe trafiały się rzadko, ale można je było łatwo rozpoznać po kolorowych dachówkach.

Pasażerowie zaczynali się ruszać. Młody człowiek zaoferował się, że poleci taksówkarzowi jechać pod adres, który Mary trzymała mocno zaciśnięty w ręce. Kiedy schodzili na peron, jego śliczna dziewczyna już czekała. Objęli się, jak to czynią zakochani, a Mary zatrzymała się z tyłu, żeby nie przeszkadzać im w tej ich chwili miłości. Młody człowiek uwolnił się z uścisku i powiedział:

– Ta pani jest Australijką.

Dziewczyna potrząsnęła ręką Mary i zarzuciła ją pytaniami, a jej chłopak z twarzą zarumienioną z emocji, nie mógł się doczekać, żeby wsadzić Mary do taksówki. Pomachała do nich ręką przez tylną szybę:

"Żegnajcie, młodzi kochankowie, Bóg z wami, wolni żeby kochać, wolni żeby żyć."

Rozdział 6 ukaże się w poniedziałek 8 maja 2017 r.

Miłość po szkocku. Wielka polityka.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Australia

Anna Habryn

Rozdział 4

Jan ciężko przeżył śmierć żony. W ogóle przestał wychodzić z domu, jakby świat dookoła był przerażający i nie do zniesienia. Mary przychodziła do niego kilka razy w tygodniu, żeby posprzątać i ugotować mu coś smacznego – inaczej jadł byle co i byle jak. Zakupy robił dla niego Charlie, on też zarządzał wszystkimi pieniędzmi i płacił wszystkie rachunki. Ale Charlie nie siedział z Janem długo, nie rozmawiał z nim. Nikt w rodzinie nie był przyzwyczajony do rozmawiania z Janem, Jan po prostu był: jak tapeta na ścianie, albo jak stół w kuchni – kto by na niego zwracał uwagę! Teraz więc Mary surowo zapowiedziała swoim dzieciom, że oczekuje od każdego z nich odwiedzania Jana raz w tygodniu.

– I trzeba z nim rozmawiać, jak najwięcej. Wychodzić z nim na spacer, do parku na rogu, albo chociaż do ogrodu.

Ogród zarastał chwastami. Mary miała pełne ręce roboty.

Któregoś dnia siedzieli z Janem na werandzie i patrzyli na spaloną słońcem trawę dookoła barbeque. Nagle Jan powiedział:

– Moi koledzy wrócili do Polski. Na „Błyskawicy”. Wszystkich ich zamknęli do więzienia.

To był pierwszy raz, kiedy Jan poddał jej jakiś temat do rozmowy. Podtrzymała ten temat skwapliwie. Wreszcie się ożywił!

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Seweryna pisała.

Od swojej najmłodszej siostry, Seweryny, Jan otrzymywał listy nieczęsto. Tuż po wojnie wysłał jej jakieś lekarstwa, a potem dostawał od niej kartkę – zbiorowe życzenia od całej rodziny – na każde Boże Narodzenie.

– Wiesz – powiedziała Mary – wszyscy dawni żołnierze i marynarze maszerują co roku na *Anzac Day* w pochodzie, obwieszeni medalami. Polacy też. Ty też byłeś ranny na wojnie, należy ci się odznaczenie. Dlaczego nigdy nie starałeś się o nie?

Powiedział z powątpiewaniem:

– Nie wiem, czy mi się należy.

– Trzeba się dowiedzieć!

– Sheila mówiła – jego oczy się zaszkliły – że to głupi pomysł. Nie wypada dopominać się o medal.

– Jak to, nie wypada! Kto wie, że ty jesteś w Australii? Może cię szukali, żeby ci dać ten medal, a nie mogli cię znaleźć.

Poweselał, ale pokręcił głową:

– Nie warto. Gdyby Sandra żyła… to jeszcze.

Wracając do domu Mary myślała:

Gdyby Sandra żyła… na pewno dowiedziałaby się, czy ojcu nie przyznano jakichś odznaczeń. Ale Sandry nie ma. A matka uważała, że to głupie. No cóż, zobaczymy, czy rzeczywiście!

Zaczęła od kilku telefonów. Pierwszy – do Ligi Emerytowanych Wojskowych, *RSL*. Drugi – do Ministerstwa do Spraw Weteranów. Podała im kilka podstawowych informacji – i otrzymała adres w Anglii.

Zdała sobie sprawę, że informacji ma za mało. Czy Jan zdoła sobie coś więcej przypomnieć? Odtąd, ile razy sprzątała jego dom, a on siedział w fotelu i patrzył na jej krzątaninę, jednocześnie zadawała pytania. Jednego dnia, akurat kiedy nurkując pod stołem usiłowała sprać z dywanu resztki jedzenia, usłyszała niebywałą historię:

– Kiedy to mogło być…? Eskortowaliśmy *Queen Mary* przez Atlantyk, z Ameryki do Europy. To był duży konwój. Jeden z małych okrętów zderzył się z nią, nie zrobił dziury pod wodą, ale wyżej, uszkodził jej burtę. Byliśmy blisko i wszystko widzieliśmy.

– Coś podobnego! Nigdy o tym nie wspominałeś.

– Kapitan zebrał nas wszystkich i kazał przysięgnąć, że nikt nic nie powie. Sekret.

– Pewnie! – Mary zafascynowana tą myślą wychyliła się spod stołu – gdyby Niemcy się dowiedzieli! Śmiech na cały świat. Taka okazja dla propagandy!

– Nikt słowa nie pisnął. Gazety też nie miały prawa tego podać.

Ale w archiwach – pomyślała Mary – *gdzieś w brytyjskich archiwach jakaś wzmianka o tym pewnie jest?*

– W którym to było roku? – zapytała. – W 1942? W 43?

Bezradnie wzruszył ramionami:

– Nie pamiętam.

Nikt nigdy nie zachęcał Jana do snucia marynarskich opowieści, tylko ona, Mary. A teraz, raz już zacząwszy, opowiadał chętnie:

– Wiesz, co to znaczy *Błyskawica*?

– *Ligthning* – odpowiedziała, bo to już dawno zdążyła sprawdzić w słowniku. – To musiał być bardzo szybki okręt, prawda?

– O, bardzo dobry okręt, bardzo szybki. – Zatrzymał się, zmarszczył brwi, a potem rzekł: – Raz ścigaliśmy się z Niemcami. Próbowali nas dogonić. To był *Graf Spee*, miał dużo więcej dział, niż my. Dwa dni siedział nam na rufie, próbowali strzelać, ale byli za daleko i nie mogli się zbliżyć! W końcu my byliśmy szybsi.

– Gdzie to było?

– Na Atlantyku. Dopłynęliśmy do Montevideo, żeby zatankować paliwo i wziąć wodę i żywność. Patrzymy – a tu *Graf* też wpływa. Cała załoga na burcie. Udali, że nas nie widzą. To był neutralny port. Drugiego ranka już ich nie było. I już ich nigdy nie spotkaliśmy.

Od razu tego samego wieczora Mary sprawdziła w *„Britannice”* – i owszem, był tam hasło *Graf Spee*. To był słynny okręt, robił 25 węzłów. Znalazła całą historię o tym, jak to w 39-tym roku cała grupa angielskich ścigaczy próbowała bezskutecznie pokonać *Grafa Spee*, gdzieś niedaleko Montevideo. Potwierdzało to opowieść Jana. Jeśli *Błyskawica* naprawdę potrafiła wystrychnąć *Grafa* na dudka, no, no…

Minął miesiąc – i Mary dostała z Anglii krótki list z prośbą o przysłanie im świadectwa urodzenia Jana. Skąd je wziąć? Jeśli nawet było gdzieś w rodzinnych papierach, to Charlie trzymał je pod kluczem. Jej brat był wściekły, kiedy Jan wspomniał mu o jej wysiłkach.

– Bzdury! – powiedział podobno. – Ja nie będę do tego przykładał ręki. Przecież ci to do niczego nie potrzebne. Mary tylko robi zamieszanie.

Mary zadecydowała, że napisze do Seweryny. Tylko… jak? Nie znała żadnych Polaków w Perth, nikt nie mógł jej pomóc. Poszła więc do biblioteki miejskiej, wzięła z półki największy słownik, jaki tam mieli i napisała krótki list. Wyszedł z tego zlepek

polskich słów pozbawiony wszelkiej gramatyki, ale jakimś cudem Seweryna pojęła, o co jej chodzi – i przysłała żądany dokument! Dołączyła do niego list… i tu Mary była w kropce. Siedziała nad nim godzinami, ale nic nie mogła zrozumieć, oprócz „dziękuję”: *thank you*.

Znowu zaczęła nękać telefonami różnych znajomych i nieznajomych ludzi, aż ktoś skontaktował ją z George`m. George, starszy pan i były żołnierz, miał poczucie humoru i szacunek dla ludzi, którzy naprawdę czegoś chcą. Cierpliwie tłumaczył jej listy, które Mary przywoziła mu odtąd co kilka tygodni. Jan nie mógł sobie z nimi poradzić. Mary ze zdziwieniem zauważyła, że Jan niewiele z listów Seweryny rozumie.

Przechodząc przez frontowy trawnik pomyślała: *Znowu trzeba podlać. Jan w ogóle już o to nie dba. Lato się kończy. Już niedługo będzie więcej deszczu, to dobrze. Zaraz poszukam ogrodowego węża i zmuszę Jana, żeby wziął się do roboty.*

Otworzyła drzwi własnym kluczem i weszła do środka.

– Halo, Janie, jestem! – zawołała. – Trzeba otworzyć okna, bo straszny tu zaduch.

Leżał na łóżku w sypialni, nie ruszył się na jej widok. Patrzył w sufit.

– Janie – dotknęła jego ramienia. Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

– Mam list z Londynu, zaraz ci przeczytam. Wstaniesz?

Podniósł się powoli, z trudem, usiadł. Siadła obok i wyciągnęła z torebki urzędowe pismo z ozdobnym nagłówkiem.

– Tu piszą – powiedziała – że dziękują za przysłanie im dokumentów. Sprawdzili wszystko w *War Office* i tutaj masz – pomachała triumfalnie arkuszem papieru – formularz i musisz to wypełnić, bo to przecież ty występujesz o uznanie wojennych zasług, nie ja, i musisz wszystko podpisać – o, tutaj. Widzisz, sprawa jest w toku.

Patrzył na papiery i nic nie mówił. (…)

***

Silver Chain był instytucją państwową. Pielęgniarki przyjeżdżały doglądać starych i chorych ludzi. Kosztowało to niewiele albo nic – państwo dopłacało.

– Ależ ty nie jesteś niedołężny! Całkiem dobrze sobie radzisz. Ja przecież ci sprzątam. Masz czyste ubrania i pościel, bo robię i pranie i prasowanie!

– Charlie nie chce, żebyś tu przychodziła.

– On mi nie może zabronić. Jesteś moim ojcem tak samo, jak jego. Mam prawo i obowiązek się tobą opiekować. – Objęła Jana ramieniem. – Chyba, że ty też nie chcesz, żebym przychodziła?

Pogładził jej rękę.

– Jesteś dobra dziewczyna. I Mandy też przychodzi. A Bill podarował mi nową laskę – pochwalił się. Mary rozjaśniła się. Powiedziała:
– Widzisz, taka powinna być rodzina. A ja mam dla ciebie niespodziankę. Nie, nic do jedzenia. Tutaj jest numer telefonu do Poznania, do Seweryny. Chcesz, to zadzwonimy?

Patrzył z niedowierzaniem, jakby przestraszony.

– No, chcesz porozmawiać z Seweryną?

Zrobił ruch, jakby chciał ją powstrzymać, ale już brała się do wykręcania numeru. Masa była tych cyfr, potem długi ciąg jakichś brzęczeń i odgłosów, wreszcie sygnał – i kobiecy głos po tamtej stronie:

– Halo?

– *Severina*? Tu Mary. Mary! Australia. Mówić Jan. Brat. Jan.

I wepchnęła oszołomionemu Janowi słuchawkę do ręki. Wziął ją niepewnie. Z tamtej strony zaszumiało, rozświergotało się radosnym potokiem słów. Jan rozjaśnił się, uśmiechnął i słuchał, słuchał… Potem chrząknął i głosem, który brzmiał inaczej, nie jak jego własny głos, powiedział kilka słów, miękko i łagodnie, niepewnie i cicho. Potem powtórzył to głośniej. A potem oddał słuchawkę Mary. Powiedziała do Seweryny:

– Dziękuję, *Severina*. My kochać Jan. Dziękuję. Do widzenia. Do widzenia.

A potem złapała Jana w pół i próbowała tańczyć z nim po mieszkaniu, ale był to wysiłek beznadziejny, bo Jan był ciężki i ruszał się jak słoń.

***

Kontrtorpedowiec „Blyskawica”.

Dwa dni później Jan zadzwonił do Mary. To była cudowna niespodzianka, bo Jan nigdy nigdzie nie telefonował.

– Mary – powiedział – chcę jechać do Poznania, do domu.

Popędziła do niego następnego dnia jak na skrzydłach, ale Janowi jakoś przeszedł już wczorajszy zapał.

– Trzeba załatwić ci paszport. Pomogę ci.

Pokręcił głową.

– Dlaczego nie? O co chodzi?

– Wilson mówi, że nie mogę jechać.

– Janie, możesz robić, co tylko zechcesz! – Chciało jej się płakać. – Jesteś wolnym człowiekiem, ty sobą sam rządzisz, Janie! A paszport załatwia się bardzo prosto. Trzeba tylko dwa zdjęcia, gdzieś przecież masz te robione zeszłego roku…?

Na podjazd wjechał mały niebieski samochód.

– *Silver Chain* – powiedział Jan.

Z samochodu wysiadła duża kobieta o energicznych ruchach. Płaskie obcasy, długi, mocny krok. Weszła, uścisnęła rękę Mary i przedstawiła się:

– Jestem Christine.

Mary spojrzała uważnie: piegowata, szeroka twarz, białe zęby, roześmiane oczy.

– Szkotka?

– Szkotka.

– Cudownie, że właśnie przyjechałaś. Poświadczysz nam prawdziwość tych zdjęć?

Christine popatrzyła na zdjęcia i na Jana:

– Ten sam. Poświadczę.

O nic więcej nie pytała, a Mary poczuła, że w Christine będzie miała sprzymierzeńca.

Przeciętny Australijczyk mógł złożyć podanie o paszport na każdej poczcie. Urzędnik pocztowy poświadczał zgodność podpisu – i dalej sprawa załatwiała się sama, a gotowy dokument listonosz przynosił do domu.

W wypadku Jana rzecz nie była taka prosta. Mary napisała do Ministerstwa Imigracji uprzejmy list z zapytaniem, czy będzie można uzyskać paszport na podstawie kopii polskiego aktu urodzenia oraz angielskiego *War Record* czyli świadectwa uczestniczenia w II Wojnie Światowej? Taki dokument z wyliczeniem

wszystkich okrętów wojennych, na jakich Jan pływał podczas wojny, otrzymała z Londynu razem z wiadomością, że Janowi przyznano pięć odznaczeń. Pędziła wtedy do Jana w deszczu, po śliskich jezdniach, przekraczając szybkość. Od progu wołała:

– Janie, przyznali ci pięć medali! Nie jeden – pięć!

Teraz mogła tego dokumentu użyć do przekonania australijskich władz o tożsamości Jana. Wiedziała jeszcze, że Jan Rogacki był naturalizowany w UK w roku 1959. W liście pytała, czy wolno jej będzie występować w imieniu jej ojczyma, który jest starym człowiekiem.

Któregoś ranka miły żeński głos zakomunikował jej przez telefon:

– Proszę nam przysłać wszystkie posiadane przez pana Rogackiego dokumenty i podpisany przez niego kwestionariusz paszportowy. Nie powinno być z tym żadnych trudności.

Dwa tygodnie później Christine powitała ją na progu domu Jana z dziwnym wyrazem twarzy.

– Znowu jakieś obraźliwe listy do mnie od mego brata? – zapytała ją Mary. Christine bowiem była świadkiem tej całej wojny nerwów i nie ukrywała przed Mary, że motywy dziwnego zachowania młodszego pana Wilsona są dla niej niepojęte, a jego formy – niegodne dżentelmena.

Tym razem poprowadziła Mary bez słowa do jadalni, gdzie na ścianie, na eksponowanym miejscu wisiał oprawiony w ramki dokument oświadczający, że *żaden podpis złożony przez Jamesa Wilsona nie ma mocy prawnej, gdyż został on urzędowo uznany za osobę o zmniejszonej poczytalności, na podstawie opinii autorytetów medycznych.*

– Co to jest?! – krzyknęła Mary z niedowierzaniem. Christine powiedziała spokojnie:

– Pan Charles Wilson sprowadził lekarza, który odbył rozmowę z Janem, wydał odpowiednią opinię o jego zmniejszonej poczytalności – i oto rezultat.

– Co za podłość – powiedziała Mary ze ściśniętym gardłem. – Gdzie jest Jan? Co on

na to?!

– Obawiam się, że nie do końca docenia wagę tego, co się właśnie stało. I raczej nie wyprowadzaj go z błędu, Mary. To jest stary człowiek, po co miałby być bardziej nieszczęśliwy.

Mary poczuła, że jej duszno.

– Kto był przy tej rozmowie?

– Nie wiem. Ja nie. Pan Charles sam mi o tym powiedział.

– Podły, och, podły! Wyobrażam sobie, jak to musiało wyglądać. Na pewno nikt biednego Jana nie uprzedził i nie wyjaśnił mu, o co chodzi. On jest taki nieśmiały wobec obcych ludzi! A do tego – przecież on tak niewiele mówi – i angielski nie jest jego rodzimym językiem – och, przecież on naprawdę nie jest niepoczytalny!!!

– Wszyscy wiemy, że nie jest. Ale z tego wynika, że nie może decydować o sobie. Obawiam się, Mary, że nie możesz już nic zrobić.

– Och – krzyknęła Mary z furią – jeszcze zobaczymy! Na razie – pobiłam go o tydzień! O siedem dni.

Rozdział 5 ukaże się w poniedziałek 24 kwietnia 2017 r.

Miłość po szkocku. Australijskie początki. Nowy Rok 1968.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący

na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Fremantle, ulica, lata 60., fot. pinterest.com

Anna Habryn

Rozdział 3

Mary stała przy relingu z Mandy na rękach i patrzyła w dół. Gdzieś tam, na nabrzeżu, w sporym tłumie oczekujących, byli jej bliscy. Nie mogła odróżnić żadnej twarzy. Poranne słońce było zbyt jaskrawe. Statek stał już od wczorajszego wieczora przycumowany do nabrzeża, ale dopiero teraz opuszczono trapy i na pokładach zaczęła się bieganina.

Pasażerowie już od kilku dni przejawiali pewne zdenerwowanie i rozdrażnienie. W miarę zbliżania się do Fremantle zaczynały w nich kiełkować jakieś wątpliwości, bo słyszało się zapewnienia, że po odpracowaniu dwóch lat kontraktu na pewno wrócą do domu, do Anglii czy Szkocji.

A teraz cały tłum stał i czekał, przestępując z nogi na nogę. Głośniki jeszcze raz przypominały, jakie dokumenty należy przygotować, w jakim kierunku się udać. Grantowie stali z boku, nie spieszyli się.

Bill krzyknął:

– Jest La-la! – i zaczął machać ręką. Mary wytężyła wzrok. Tak, chyba matka, w białym kapeluszu. Obok drugi, podobny – Sandra! Jest i Jan. Poczuła się szczęśliwa. Tam, na tej ziemi, czeka na nich rodzina, najbliżsi, dom. Wreszcie są znowu razem. (…)

Pierwszym zaskoczeniem było zimno. Kurczyli się w swoich wiosennych płaszczykach. Mary myślała: *dobrze, że zapakowałam wszystkie swetry*.

Drugie zaskoczenie: dom matki i Jana był ciasny. Miał dwie duże sypialnie i mały pokój urządzony od tyłu, na werandzie wychodzącej na ogród. Był na pewno za mały dla dziewięciu osób. Po uroczystym obiedzie Sandra wyniosła się spać do koleżanki i matka była z tego powodu wyraźnie niezadowolona.

– Nie przejmuj się – powiedziała siostra do Mary – nie musi ci być przykro. Bardzo się cieszę, że jesteście. A spanie u koleżanki to dodatkowa atrakcja – i roześmiała się szczerze. (…)

Rano obudziły ją odgłosy ostrożnej krzątaniny. Wciągnęła na siebie szlafrok i kuląc się z zimna powędrowała do kuchni. Jan szykował sobie kanapki do pracy. Za oknem było zaledwie szaro. Uśmiechnął się do niej:

– Jak się spało? Woda gotowana, zrób sobie śniadanie. Ja już muszę iść, bo mi ucieknie autobus. (…)

Nasypała sobie kawy, nalała wody do kubka i po wyjściu Jana siadła przy stole. W kuchni było dosyć ciepło. Nie chciała nikogo budzić o tej szarej godzinie. (…)

Dzieci pojawiły się w kuchni dość wcześnie, głodne i gotowe ruszać na zwiedzanie okolicy. Mary poszperała w szafkach i w lodówc*e*, zrobiła im śniadanie, ostrzegła, żeby nie zapuszczali się za daleko:

– Te ulice są wszystkie do siebie podobne. Uważajcie, żeby nie zabłądzić. Pamiętacie nasz adres?

Pamiętali i cała trójka jej synów ruszyła z hałasem na podbój Australii. (…)

Słońce świeciło pięknie i zrobiło się już zupełnie ciepło. W ogrodzie stał mały blaszany domek z okienkiem w drzwiach, pod wielkim drzewem. Westchnęła: wanny nie było. Z drugiej połowy tylnej werandy zrobiono pralnię, był tam też prysznic, a wodę grzało się w metalowym cylindrycznym zbiorniku, pod którym palono drewnem. Trzeba napalić. Było oczywiste, że Mary przejmuje obowiązki gospodyni: będzie palić, gotować, sprzątać. Jak w dzieciństwie?

Charlie pojawił się drugiego dnia, bo był zapracowany. Z czułością powitał siostrę i szwagra, obiecał, że w następną sobotę zabierze ich do siebie. Lily nie może się doczekać, żeby ich znowu zobaczyć, ale dzieci są trochę chore… Na razie Charlie przyjechał zabrać ich na zwiedzanie miasta. Przyjechał swoim nowym dużym Chryslerem i chłopcy byli zafascynowani maszyną – i wujkiem, którego prawie nie pamiętali. (…)

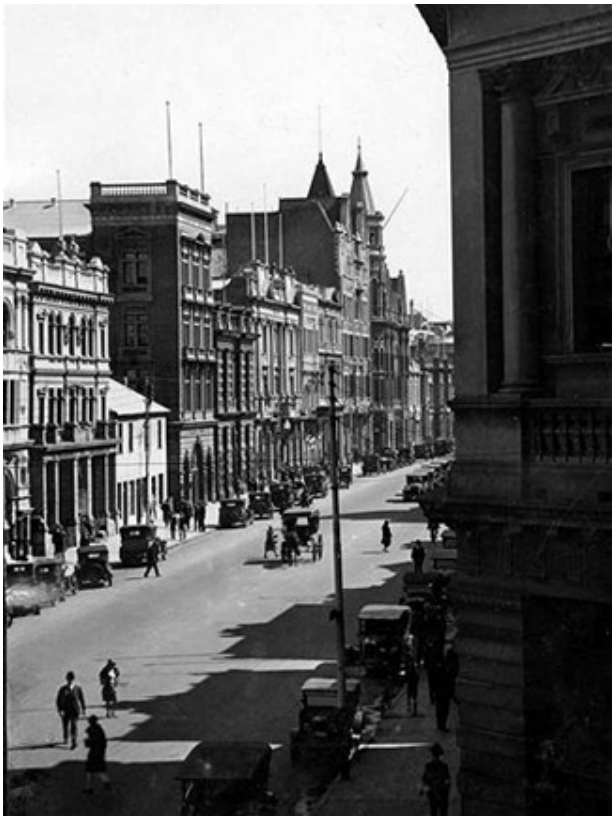

Perth, ulica St. George.

Samo miasto nie zrobiło na nich wielkiego wrażenia. Przejechali główną ulicą *St. George`s Tce* czyli „Świętego Jerzego”, między kilkupiętrowymi biurowcami. Niektóre pamiętały czasy królowej Wiktorii i zachowały swój angielski styl. Za niewysokim murem, w pięknym ogrodzie krył się – widoczny lepiej od strony rzeki – stylowy, choć niewielki pałac gubernatora. Obok niego, w parku, który wziął swą nazwę *High Court Gardens* od surowych czerwonych budynków Sądu Najwyższego, budował się nowoczesny, betonowy budynek Rady Miejskiej. Obok były banki, hotele, wielka drukarnia i redakcja miejscowej gazety, wszystko na jednej ulicy. U jej końca, na wzgórzu stał podłużny, szary, dwu- czy trzypiętrowy budynek parlamentu, a od niego w stronę rzeki rozciągał się *Kings Park*, z aleją wielkich eukaliptusów, z których każdy posadzony został na pamiątkę żołnierza poległego na wojnie. Była to długa aleja, a każde drzewo miało tabliczkę z imieniem bohatera. To zrobiło na wszystkich wrażenie, choć nie przywoływało smutku cmentarzy.

Widok z urwistego brzegu na szeroko rozlane wody, gdzie łączyły się dwie rzeki, Swan i Canning, szerokim korytem uchodzące wspólnie do oceanu, gdzieś za horyzontem, we Fremantle, ten widok zaparł im dech w piersiach. Na błękitnej

wodzie bieliły się żagle jachtów. Siedli na trawie i patrzyli, zachwyceni. Dusza Mary śpiewała: oto Australia! Szeroki, wielki, wspaniały kraj. Trzeba tylko znaleźć w nim swoje miejsce.

Najprędzej udało się to chłopcom. Poszli do szkoły razem, oczywiście do innych klas, ale w tym samym kompleksie barakowych budynków ze wspólnym boiskiem, gdzie spotykali się na każdej przerwie. Na lunch wracali do domu: mieli godzinę przerwy, a szkoła była na sąsiedniej ulicy. Połykali szybko, co Mary przygotowała – i zdawali sprawozdanie ze szkolnych wydarzeń.

Pierwsze tygodnie były dla nich ciężkie. Poszli do szkoły w swoich ubraniach przywiezionych ze Szkocji. Natychmiast znaleźli się pod obstrzałem szyderstw. Wyśmiewano ich buty, krzyczano za nimi: „*pommy*!" – każdy przybysz z Anglii był przezywany „*pommy*". Dopiero, kiedy we trzech stawili czoła prześmiewcom i rozbili kilka nosów, zaakceptowano ich wyjaśnienia, że oni nie są „*pommies*", oni są ze Szkocji. (…)

Po kilku dniach chłopcy wyrzucili swoje „angielskie" buty i zaczęli nosić „japonki" jak inni koledzy z klasy. Krótkie popelinowe spodenki i trykotowe koszulki zastąpiły te – tak porządnie wyglądające, zdaniem Mary – blezery, noszone przez uczniów w Auchtertool. Jej synowie zaczęli domagać się kanapek ze słoną, brązową mazią zwaną *Vegemite* albo z masłem orzechowym, a po kilku tygodniach zaczęli przejmować specyficzny sposób australijskiego artykułowania samogłosek, tę wymowę bezskutecznie tępioną przez nauczycieli. A także – wyśmiewaną pogardliwie przez La-la. Babka i ojciec byli tu jednego zdania: australijski akcent jest znakiem australijskiej głupoty. Alan, najmłodszy z synów Mary i ulubieniec babki od wczesnego dzieciństwa, był skłonny bezkrytycznie akceptować jej sądy, ale dwaj starsi,Willie i Brian, ignorowali krytykę, co drażniło babkę i ojca jeszcze bardziej. Mary zaś z niepokojem obserwowała rodzący się pierwszy konflikt rodzinny. (…) Kiedy po trzech tygodniach Grantowie wynajęli niedaleko domek dla siebie – było już za późno.

Szukanie domu do wynajęcia było koszmarem. (…) Zaczynało się od żądania referencji. Najlepiej – listu od pracodawcy. Gordon dopiero szukał pracy.

Po kilku tygodniach stukania do drzwi, znaleźli coś do wynajęcia w pobliżu.

Właściciel był Włochem. Obejrzał ich krytycznie i po konferencji z żoną zgodził się wynająć im dom za 20 dolarów na tydzień. (…)

Dom był potwornie brzydki. „Styl śródziemnomorski” – zaznaczył dumnie właściciel otwierając im drzwi. Była to kwadratowa bryła z płaskim dachem, otynkowana na różowo. Wewnątrz były dwie sypialnie, jadalnia, salonik, łazienka, toaleta, kuchnia i *sleep-out*, czyli pokój na tylnej werandzie, bardzo w australijskim guście. Wszystko było wymalowane jaskrawymi kolorami: żółte ściany, zielone szafki w kuchni, ubikacja fioletowo – bordowa!

Z tyłu domu rozpościerał się „ogród”: pełna kurzu pustynia, ogrodzona na wysokość człowieka szarymi płotami z falistych płyt azbestowych. Na środku stało samotne drzewo, bliżej domu „karuzela” do suszenia bielizny, typowy australijski wynalazek, z wyglądu przypominający rozpięty parasol bez pokrycia.

W samą porę przypomniało jej się, jak ktoś kiedyś chwalił jej poczynania jako młodej gospodyni: *Ty potrafiłabyś stworzyć dom nawet w namiocie.* Ha, trzeba będzie się postarać. (…)

Przeprowadzili się następnego dnia. Podstawowe meble kupili w sklepie z używanymi gratami, które w Australii elegancko nazywa się „antykami”. Mary starała się przymknąć oczy na ich brzydotę, ale wiedziała, że nie da się ich pokochać. Ich dom w Szkocji był wytworny i luksusowy w porównaniu z tym, co próbowała stworzyć swojej rodzinie w nowym kraju, w tym wymarzonym kraju przepysznych ogrodów z basenami do pływania, w tym kraju z broszur reklamowych drukowanych na błyszczącym papierze. Nie było miejsca na marzenia, trzeba było starać się przeżyć. (…)

Szybko poznali swoich sąsiadów. Z lewej strony mieszkali Holendrzy, którzy tuż po wojnie przyjechali do Australii prosto z obozu jenieckiego w Niemczech. Byli stosunkowo dobrze sytuowani i mieli dwóch prawie dorosłych synów, kulturalnych, miłych chłopców, dobrze wychowanych i ciężko pracujących. Mary patrzyła czasem na nich i miała nadzieję, że jej synowie za kilka lat też będą tacy.

Naprzeciwko mieszkali Grecy. Czasem uśmiechali się do Mary i zagadywali do niej, ale nie mogła zrozumieć ani słowa. Uśmiechała się więc też i machała przyjaźnie

ręką. Ich dom przypominał wiejski domek z ogródkiem pełnym kwiatów. Wszystko tam było czyściutkie i wypielęgnowane. Mary zauważyła, że nigdy nie odzywali się do swoich sąsiadów, tych właśnie Włochów, którzy byli właścicielami domu wynajmowanego przez Grantów.

Australijscy Aborygeni

Dwa numery dalej, w azbestowym domu na palach (to były niewysokie słupki, na werandę wchodziło się po dwóch schodkach) mieszkała rodzina Aborygenów. Dom należał do państwa, był nieogrodzony od ulicy i straszliwie zapuszczony.

Pewnego ciepłego poranka Mary usłyszała krzyki. W życiu nie słyszała dotąd tak grubiańskich przekleństw. Wyjrzała na ulicę: przed domem Aborygenów rozgrywała się rodzinna scena. Starsze dzieci z przerażeniem biegały dookoła, dwójka najmłodszych siedziała porzucona w kurzu, a ich rodzice, sczepieni ze sobą i młócący rękami, zażarcie się bili.

Przerażona, Mary pobiegła do Holendrów, ale nie było ich w domu. Zadzwoniła więc na policję, ale po drugiej stronie odpowiedziano jej, że takie awantury odbywają się co tydzień i żeby się nie wtrącała. Nie, policja nie będzie interweniować.

Wkrótce przekonała się, że istotnie, takie bójki stanowiły część stylu życia jej aborygeńskich sąsiadów. Później przekonała się, że na porządku dziennym było wśród nich bicie żon, pijaństwo zarówno wśród mężczyzn jak i kobiet, zastraszenie i zaniedbywanie dzieci. Taka była Australia. Trzeba się było jej uczyć, trzeba się było przyzwyczajać: do dziwnie budowanych domów i do dziwnie mówiących ludzi o szokujących obyczajach. (…)

Okolice Perth w okresie Bożego Narodzenia, fot.likeyouau.blogspot.com

Dziwne były te upalne święta Bożego Narodzenia. Mary nie była specjalnie religijna, jej matka również. Z tradycji rodzinnej – byli wszyscy protestantami, ale Jan był katolikiem i nic to nikomu nie wadziło.

Dla jej dzieci w Australii Boże Narodzenie to były przede wszystkim długie letnie wakacje. W te wakacje dzieci dużo przebywały u dziadków, bo i gdzie indziej? Chłopcy lgnęli do Jana, bo Jan miał też urlop i całe dnie majsterkował w swojej szopce w ogrodzie. Ręce Jana były nadzwyczajnie zręczne. Mary raz zajrzała do tej szopy i zdumiała się ilością nagromadzonych tam narzędzi. Wszystko poukładane w idealnym porządku, tylko na środku kupa świeżych obrzynków i wiórów. Jan robił

jakiś mebel.

Nad miastem wisiał upał. Mary już wiedziała, że nie ma co oczekiwać popołudniowej oczyszczającej burzy, najwyżej lekka bryza od morza przyniesie nieco ulgi nad wieczorem. W nocy nagrzane mury domów i ziemia będą wypromieniowywać ciepło. W takie noce najlepiej było spać na zewnątrz, jeśli człowiek nie bał się moskitów. A w dzień trzeba było kryć się w najgłębszym cieniu werandy, albo – jak robiła to jej matka – zasłaniać okna i siedzieć w półmroku. Gotowanie wewnątrz domu nie wchodziło w rachubę. Pewnie dlatego ludzie wymyślili barbecue. Stało ono na podwórzu, a jego konstrukcja była prosta: metalowa beczka, przecięta na pół wzdłuż pionowej osi, umocowana poziomo na nodze z metalowej rury, przykryta blachą grubą na pół palca. Pod tą blachą Jan rozpalił ogień. Dym szczypał trochę w oczy, toteż reszta rodziny trzymała się na dystans. Wędzenie się przy zasmolonej i zardzewiałej beczce było w Australii ponoć honorową funkcją pana domu. Jan wszedł w tę rolę z samozaparciem. (…)

Słońce chyliło się ku zachodniej stronie nieba. Blacha na barbecue była już prawie nagrzana, kiedy pojawił się Charlie i odsunął Jana od paleniska:

– Ja mam więcej doświadczenia – powiedział. Sięgnął po butelkę oliwy, chlusnął nią na blachę. Jan ustąpił i poszedł do ogrodu podlewać grządki. Ogród był spory i podzielony na dwie części: warzywnik od tyłu, a z przodu, koło Barbecue, trawnik i kwiaty. To było królestwo Jana. Z dumą pokazał im swoje gospodarstwo już pierwszego dnia. Jan zawsze lubił uprawiać ziemię. Mary pamiętała, że w Kircaldy mieli piękny ogród: truskawki, ziemniaki, kapustę… I króliki. Często ulubiony królik Mary lądował w garnku… Takie jest życie.

Ten ogród wyglądał inaczej: ziemia była mało urodzajna. Ale i tu były truskawki, sporo krzaków pomidorów, pietruszka, pory i kilka ziół używanych do przypraw: majeranek, mięta, małe drzewko laurowe. Była cała grządka melonów i dyń i kilka drzewek cytrusowych: piękne cytryny i pomarańcze jak błyszczące kule.

Barbecue w wykonaniu Charliego było niezłe. Steki nieco przypalone, ale prawie surowe w środku, plasterki cebuli, pieczarki, upieczone w całości krewetki i grube plastry dyni i cukini. Do tego masa kiełbasek, które dzieciaki pochłaniały z zapałem. Popijano wszystko piwem, bo Charlie stwierdził, że to prawdziwie po australijsku:

tylko piwo. W dużych ilościach.

Dziwnie zmienił się ten jej „mały braciszek”. Mary patrzyła na tego dorosłego mężczyznę i zastanawiała się, czy go jeszcze zna. Myśląc o Charliem zawsze miała przed oczyma tego malca, który był jej utrapieniem w dzieciństwie. Kiedy Charlie dorósł? Jakoś to przegapiła. Oddaliła się od nich wszystkich, kiedy wyszła za mąż, urodziła swoje dzieci i miała swoje kłopoty. Sandra co prawda bywała jej gościem na wsi, ale Charlie miał już swoje życie. Służył w wojsku, potem się ożenił z Lily, rudą Irlandką, która urodziła mu synka. Klepali biedę, kiedy po wyjściu z wojska nie mógł znaleźć pracy. Miał dobry zawód, był spawaczem, ale stocznia w Glasgow nie potrzebowała nowych ludzi do pracy. Nie gardził żadnym zajęciem, ale zdarzało się, że Mary oferowała mu niewielkie sumy zaoszczędzone z budżetu domowego, żeby mógł na czas opłacić czynsz za mieszkanie. Kiedy zdecydował się jechać do Australii, Mary po raz pierwszy spojrzała na niego z szacunkiem. Więcej, patrzyła wtedy na niego z podziwem. A teraz byli w Australii wszyscy.

Jej bratowa, Lily, siedziała na uboczu, Mary przysiadła się do niej. Lily wyglądała kwitnąco w urodzie swoich trzydziestu lat, kusząco zaokrąglona, pięknie opalona, wypoczęta i zrelaksowana. *Widać po niej, że im się świetnie powodzi* – pomyślała Mary. I powiedziała to głośno. Lily się roześmiała.

– Nie najgorzej, owszem. Charlie znowu zmienił pracę. Za każdym razem dostaje wyższe stanowisko i lepszą pensję, sprytnie to robi.

– A ty nie wybierasz się do pracy?

Lily spojrzała na nią zaskoczona.

– Wiesz, że tu uważa się, że kobieta nie powinna pracować. Nasza Eileen jest jeszcze mała. Zresztą, Charlie zarabia na nas wszystkich. Ale na początku było okropnie – dodała pośpiesznie, jakby chciała zatrzeć niepożądane wrażenie czy też pocieszyć Mary. – Każdy nowo przyjezdny przeżywa to samo. (…)

Część miasta na północ od rzeki była uważana za lepszą, niż część południowa.

Och, mieć własny dom – pomyślała Mary. Marzyła o tym, że pewnego dnia będą mieli swój własny dom, niechby nawet z państwowego przydziału. Wszystko będzie lepsze

niż to różowe okropieństwo, w którym mieszkają. I nie będzie trzeba znosić tego wścibskiego właściciela, który zawsze chce przeprowadzać inspekcję domu akurat wtedy, gdy Gordon jest w pracy.

Sztuka Aborygenów.

Popołudnie zmieniało się w wieczór. Dzieci rozpakowały prezenty, dorośli siedzieli syci i zadowoleni, kiedy La-la zaczęła znowu wspominać dawne, dobre czasy. Sandra kręciła się niespokojnie, wyraźnie rada by się wymknąć. Chłopcy słuchali grzecznie. Opowieść wyraźnie miała mieć jakąś wartość pedagogiczną.

La-la zaczęła wspominać światowe życie, jakie pędziła przed śmiercią swego pierwszego męża. Mieszkali w pięknym domu – to prawda, Mary pamiętała coś niecoś – mieli trzy sypialnie i jadalnię z wielkimi na całą ścianę oknami, był też salonik, duża łazienka z osobną toaletą, wielki przedpokój, wygodna kuchnia… A w salonie zbierało się czasem dobre towarzystwo – *bo wasz dziadek był biznesmenem i obracał się w wysokich sferach. Miał wielu znajomych artystów. Spotykaliśmy bardzo*

sławnych i ważnych ludzi. Podczas Wielkiej Wystawy Imperialnej w Glasgow w 1938 roku wasz dziadek gościł w swoim pawilonie pocztowym Króla i Królową. Gdzieś mam nawet zdjęcie…

Najgorsze zawsze było zakończenie takich wspomnień:

– Boże, na co mi przyszło?

Mary spojrzała na Jana. Siedział wpatrzony w coś przed sobą, przygarbiony i milczący. Nie powie słowa, słyszał to już tyle razy. Nie będzie się bronił. Nie powie, że Sheila była przecież na dnie, gdy ją spotkał. A może nie wie o tym? Ale dlaczego dzieci mają wierzyć w te kłamstwa? Pogardzać Janem? Za co? Postawiła ze stukiem filiżankę na spodku i bardzo wyważonym, spokojnym i uprzejmym tonem zapytała:

– A czy pamiętasz mamo, jak żyliśmy podczas wojny?

Matka wzruszyła ramionami. Mary parła dalej:

– Jak paliliśmy w piecu starymi płytami gramofonowymi, bo węgla nie było? Jak trzeba było sprzedać meble, pianino, nasze zabawki? Pamiętasz, co jedliśmy? Toffi robiłaś nam tylko na urodziny i na Gwiazdkę?

Matka zirytowała się.

– Po co wspominać te rzeczy? Potem było lepiej.

– Tak, jak pojawił się Jan.

La-la zwróciła się do dzieci, ignorując córkę:

– Jan był marynarzem…

– Dajcie spokój – wtrącił się Jan.

– I nie umiał po angielsku. Nie miał pojęcia o świecie. Zresztą – nadal nie ma.

Odezwała się w tym momencie Sandra, zmęczonym głosem:

– Mamo, nie mów takich rzeczy. To nieprawda.

– A znacie tę historię, jak pojechał do Londynu? Nie znał mnie jeszcze wtedy.

– To niesmaczne – mruknęła Sandra. Ale Sheili nic już nie mogło powstrzymać.

– Więc, jego okręt stał w Southampton. Jan pojechał pociągiem do Londynu, spotkał tam jakąś miłą blondynkę i spędził u niej trzy dni. Odprowadziła go na Waterloo Station, ale pomylił się i wsiadł w pociąg, który jechał do Walii, a nie do Southampton. Spóźnił się na okręt. Oczywiście stanął przed sądem, bo to była wojna. Tłumaczył się, że wsiadł w zły pociąg, kapitan go pyta, czy pamięta nazwy stacji, przez które jechał. A Jan na to: *Widziałem tylko „Gentlemen”, „Gentlemen”*, bo tylko to przez okno widział, jak pociąg stawał na dworcach! – i Sheila roześmiała się złośliwie, a Jan dokończył:

– I siedziałem w areszcie, i zdegradowali mnie, i straciłem 10 szylingów z pensji, a to było wtedy dużo pieniędzy.

Wstał z fotela i wyszedł do ogrodu. W ciszy Mary wyszła za nim. Stał wśród swoich grządek. Trzymał w ręku dużą dynię. Złocistą. Przyglądał się jej. Mary podeszła, położyła głowę na jego ramieniu. Podał jej dynię:

– Chcesz, weź sobie. Piękna, prawda?

– Janie – zapytała Mary cicho. – Na tym okręcie, jak cię zamknęli w areszcie, to o czym myślałeś?

Chwilę milczał, potem zebrał się w sobie i powiedział:

– O Polsce. I o mojej matce.

***

Dla Szkotów Nowy Rok jest ważniejszy niż Boże Narodzenie. W Glasgow gospodynie myją, skrobią i pucują wszystko, co się da. Na spotkanie Nowego Roku należy być czystym. To przekonanie zostało Mary na zawsze.

W Szkocji, kiedy przyszedł wieczór sylwestrowy, ustawiano na stole whisky i kieliszki razem z ciastami: kruchym i owocowym. Aż do północy nie otwierało się żadnej butelki i nie piło się żadnego alkoholu, a po północy każdy gość był mile widziany i

podejmowany.

Ten ich pierwszy Nowy Rok w Australii miał wyglądać inaczej: pod zasypanym obcymi gwiazdami niebem, w chłodzie przynoszącym ulgę po upale dnia, w samotności. A butelka whisky była luksusem, na który nie mogli się zdobyć.

Fabryka mebli, w której od kilku miesięcy pracował Gordon, została zamknięta na okres świąt i Nowego Roku – i był to urlop bezpłatny. W spiżarce półki były prawie puste. Mary ze zmartwienia nie mogła spać po nocach. Próbowała bardzo delikatnie wspomnieć matce o ich finansowych kłopotach, ale jej sugestia pożyczki została pominięta milczeniem. Z Charliem rozmawiała otwarcie i otwarcie powiedział jej:

– Nie mam pieniędzy, ale możecie iść do Biura Opieki Społecznej, oni wam pomogą.

Po raz pierwszy w życiu wybrali się do Urzędu prosić o wsparcie. Straszne było to przeżycie dla nich obojga. Musieli wyjaśniać sytuację. Musieli tłumaczyć, że ich sponsorzy (matka i Charlie) są też w trudnej sytuacji, choć sami nie byli o tym przekonani. Urzędnik na szczęście był pełen zrozumienia i otrzymali pieniądze, dosyć, żeby zapłacić za mieszkanie i kupić żywność.

W tę australijską noc pełną wrzeszczących cykad, kiedy wybiła północ, z pierwszą minutą roku 1968, Gordon otworzył butelkę whisky, wypili za Szkocję i oboje myśleli to samo: *że też diabli nas podkusili, żeby stamtąd wyjeżdżać!*

Nie mieli pieniędzy na bilety powrotne.

Australia, fot. John White.

Rozdział 4 ukaże się w poniedziałek 10 kwietnia 2017 r.

Miłość po szkocku. Podróż po nowe życie. Rok 1967.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego

polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Liniowiec Fairstar.

Anna Habryn

Rozdział 2

Był majowy, piękny, słoneczny dzień. Stali na nabrzeżu w Southampton, cała szóstka, z zadartymi głowami, w milczeniu. Wielki liniowiec *Fairstar* wznosił się nad nimi białymi piętrami pokładów, na których mrowili się ludzie: bajkowy statek, który miał ich zabrać na koniec świata, do ziemi obiecanej.

Mary wzięła za rękę małą Mandy i ruszyli w kierunku wysokiego trapu: Mary z trzyletnią córeczką przodem, za nimi ośmioletni Alan i dwaj starsi synowie, Brian i William, taszczący wspólnie walizkę, na końcu Gordon przygarbiony pod ciężarem dwóch wielkich waliz. Rodzinka jak z obrazka, w nowiutkich wiosennych płaszczach,

Mandy z warkoczykami przewiązanymi zieloną wstążką, Mary w nowym zielonym kapeluszu. Parli naprzód, zdecydowani pokonać wszelkie przeszkody.

Na pokładzie skierowano ich do olbrzymiego („jak sala balowa", pomyślała Mary) foyer zapełnionego tłumem podróżnych. Stewardzi, przystojni Włosi, krążyli wśród podróżnych jak pszczoły dookoła miodu. Przez głośniki wywoływano jakieś nazwiska. Ludzie śmiali się, płakali, dzieci szalały pod nogami i między walizkami. Dłuższy czas Grantowie czekali, aż wywołano ich nazwisko. Młody steward poprowadził ich w dół, korytarzami, do kabiny. Ulokowano ich w pomieszczeniu podzielonym przepierzeniem: łóżka dla dzieci ustawione były piętrowo w jednej części, dwa łóżka dla rodziców – w przejściu do łazienki. Łazienka była maciupka, ale był tam prysznic, sedes i umywalka. Ogólnie, było to całkiem przytulne, miłe pomieszczenie. Co najważniejsze, byli wszyscy razem. Mary odczuła ulgę, bo cały czas obawiała się, że Gordon będzie musiał mieszkać gdzieś na osobnej sali dla mężczyzn. Właśnie tak podróżował do Australii jej brat Charlie kilka lat wcześniej. Na samą myśl o tym cierpła jej skóra na grzbiecie: sama w obcym otoczeniu z czwórką dzieci! (…)

Na nabrzeżu szkocka orkiestra grała *Will ye no come back again*. Stali przy relingu. Ludzie dookoła płakali i machali rękami do odprowadzających, a pasek wody oddzielającej ich od ojczyzny powoli się poszerzał.

Grantowie nie szukali wzrokiem na nabrzeżu żadnej twarzy, bo cała ich dalsza rodzina pożegnała ich na Kirkcaldy Station trzy dni wcześniej, ale Mary i tak czuła łzy w oczach. I – jak wszyscy – Mary, Mandy, chłopcy i Gordon machali rękami do tych na nabrzeżu, a orkiestra grała *Auld Lang Syne*. Mary pomyślała: *Czego tu płakać! Przecież ja tu jeszcze wrócę.* Gordon objął ją ramieniem i wiedziała, że to, co zostawiają za sobą, jest mniej ważne niż to, co ich czeka. A we Fremantle będą ich witać najbliżsi: jej matka, siostra, brat i ojczym, wszyscy szczęśliwie zakorzenieni już na nowym lądzie. Charlie, brat, wyjechał do Australii pierwszy, zaraz po powrocie z wojska. Lata sześćdziesiąte były trudne na Wyspach Brytyjskich i Charlie nie mógł znaleźć pracy, a w Australii pracy było w bród. Jechał tam z kontraktem w kieszeni. (…)

Zatoka Biskajska, która – jak im mówiono – zawsze była wzburzona, tego majowego dnia lśniła jak lustro. *Fairstar* sunął po srebrnej powierzchni marszczonej lekkimi

falami, a na górnym pokładzie zastawionym leżakami kłębili się ludzie. (…)

***

Myśl o wojnie nie opuszczała jej. Nawet kiedy przepływali przez Gibraltar, tak blisko słynnej skały, że widać było małpki skaczące po drzewach, nawet wtedy Mary nie mogła się uwolnić od tego niepokoju. Stała na pokładzie pod wysokim, pogodnym śródziemnomorskim niebem i myślała, że płynie po tym samym morzu, w którym Niemcy omal nie utopili Jana. To było gdzieś w tych okolicach, w 1942, dwunastego listopada (tę datę Mary dobrze pamięta, bo później, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia urodziła się jej siostra Sandra). Jan pływał wtedy na polskim okręcie „Dragon". Miał tam przyjaciela, Stefana. Stefan pochodził z Warszawy, miał 23 lata, Jan, dwa lata starszy, traktował go jak młodszego brata. Tego dnia, późnym rankiem Jan wyszedł na pokład, na krótką przerwę, wypić poranną kawę, a właściwie kakao, oni pijali na drugie śniadanie kakao. I wtedy nadleciało wprost nad ich głowy, z jasnego nieba, sześć samolotów Luftwaffe. Pocisk trafił w sam środek pokładu i rozerwał się dopiero w maszynowni, dokładnie tam, skąd Jan wyszedł pięć minut wcześniej. Okręt ciągle trzymał się na wodzie – Jan zbiegł do maszynowni. Szukał Stefana, znalazł głowę, ciało też tam gdzieś było, wśród szczątków czterdziestu sześciu innych. Nie było już nikogo do ratowania.

Okręt tonął. Łodzie ratunkowe były już spuszczone. Ludzie skakali do nich z pokładu, a nad głowami krążyły niemieckie samoloty i strzelały. Jakiś odłamek trafił Jana w łokieć w momencie, kiedy wdrapywał się do łodzi. Wciągnięto go. Potem trzy dni płynęli, aż jakiś amerykański okręt wyłowił ich u wybrzeży Afryki. Ręka Jana była już czarna od gangreny.

Po sześciu tygodniach w szpitalu w Algierze, gdzie wszystkie pielęgniarki, zarówno czarne jak białe, mówiły tylko po francusku i żadna nie mogła za niego napisać listu, Jan doszedł do siebie na tyle, że przewieziono go samolotem do Gibraltaru, a stamtąd inny amerykański statek zabrał go do Anglii.

Pewnego dnia, w 1943 roku, stanął na progu ich mieszkania ze swoim przepraszającym uśmiechem, duży i nieporadny, w spodniach od amerykańskiego munduru, w pożyczonej koszuli i w polskiej czapce marynarskiej – i to był cały jego majątek. Wszystkie dokumenty, listy, fotografie rodzinne utonęły w Morzu

Śródziemnym.

Mary przechyliła się przez barierkę: w tym ciepłym, zielonkawym morzu, gdzieś na dnie spoczywał „Dragon”, a z nim i Stefan, i inni.

Czy to możliwe, żeby po tylu latach, po tylu cierpieniach, ludzkość nie była mądrzejsza? Czy to możliwe, żeby dzisiaj, w maju 1967 roku, ktoś chciał rozpoczynać wojnę?! Właśnie wtedy, kiedy oni rozpoczynają nowe życie. (…)

***

Dziesięć funtów od osoby kosztował ich ten przejazd do Australii, resztę dopłacał rząd. Oczywiście, żeby na to zasługiwać, kandydat na Australijczyka musiał być nieskazitelnie czysty, bez kartoteki w policji, mieć doskonałe zdrowie i zadowalającą historię zatrudnienia. Toteż można było przyjąć, że *Fairstar* wiózł na pokładzie solidny ładunek uczciwych potencjalnych Australijczyków, choć różnili się oni między sobą akcentem, charakterem i przeszłością. Niektórzy byli nieco zamożniejsi niż inni, bardziej pewni siebie i głośniejsi w barze. (…)

Gordon siedział nad następną szklanką, a oczy pływały mu we łzach. Mary westchnęła.

– Pójdziemy już, prawda?

– Co my tu robimy? Po co my tu siedzimy?

– Och, Gordon, upiłeś się znowu.

– Nie jestem pijany. Jestem głupi, że dałem się namówić na tę podróż. Straciłem wszystko, wszystko sprzedane: dom, samochód. Na zatracenie!

– Kochany – zaczęła tłumaczyć szeptem, jeszcze raz, od początku. – Dorobimy się szybko i więcej, tam są możliwości. Matka pisze, że łatwo o dobrą pracę. Kupimy dom niedługo. Zobaczysz.

– Praca. Oni wszyscy – zatoczył ręką łuk – oni myślą, że znajdą złoto.

– To nie tak. To górnicy, a tam są kopalnie złota.

– Ja nie jestem górnikiem.

– Nie martw się. Jan dostał pracę w mennicy, a Sandra w biurze. Coś się znajdzie dla ciebie, na pewno.

– Po co nam to… Mieliśmy wszystko! (…)

***

Byli małżeństwem od trzynastu lat. Miała osiemnaście lat, kiedy poznała go na zabawie. Dobrze ubrany, farmerski syn, był bardzo przystojny, choć nieco tylko wyższy od niej i dobrze tańczył. Był jednym z czterech braci gospodarujących na 500-akrowej farmie. Wszyscy oni byli uważani za świetne partie. Gordon był pięć lat starszy od Mary.

– To właśnie to, czego ci trzeba – orzekła jej matka. (…)

Jeżeli jednak nie była pewna swych uczuć wobec narzeczonego, to zakochała się od razu w jego rodzinie. Jej teściowa, Izabella, była wszystkim, czym matka rodziny powinna być. Wchodząc do jej domu, wchodziło się w inny świat. To był wielki wiejski dom: wielki kominek, ogromny stół, obfitość jedzenia, zapach domowych konfitur, domowej roboty bułeczki, naleśniki… Każdy posiłek jak uczta. A przy tym Izabella Grant była piękną, postawną kobietą. Potrafiła być stanowcza i ustanawiać domowe prawa, a jej rodzina odpłacała jej taką samą miłością i szacunkiem, jakimi ona obdarzała ich wszystkich.

Wszystkie wydatki i koszta wesela pokryła Izabella. Mary pochodziła z miasta i mieszkańcy wsi długo uważali ją za obcą, ale w domu Izabelli Mary szybko dostosowała się do życia na farmie. Polubiła je. Przez sześć miesięcy mieszkali z teściową, potem kupili własny, mały domek, och, to było cudowne! Mary miała poczucie, że życie jest piękne u boku jej przystojnego, dobrego i spokojnego męża. Tak, porównując się do innych młodych mężatek dookoła uznawała, że powodzi jej się dobrze. Często zabierała z miasta na farmę swoją młodszą siostrę Sandrę, bo dziewczynka przeważnie siedziała w domu sama: ojciec był zwykle w pracy, a matka… nie wiadomo, gdzie. (…)

***

Kryzys bliskowschodni dopiero się rozpoczynał. *Fairstar* miał być ostatnim statkiem pasażerskim, który przepłynął przez Kanał Sueski w 1967 roku, w ostatniej chwili, choć pasażerowie nie byli tego świadomi. Dookoła panował spokój, tyle że zbliżając się do strefy Kanału mijali stojące na redzie angielskie statki wojenne czekające na przeprawę.

Morze było jak bajka, przez ostatnie dni zachody słońca barwiły niebo nieprawdopodobnymi kolorami, a teraz oto – dla ukoronowania tego wszystkiego – przesuwały się przed jej oczami płaskie brzegi Afryki, jak dekoracja do hollywoodzkiego filmu.

Mary była od dzieciństwa kinomanką. W jej dziecinnej fascynacji srebrnym ekranem tkwiła gdzieś głęboko wiara, że w tym świecie wytwornych kobiet i wspaniałych romansów, czeka na nią jej własne miejsce.

To było zdumiewające: zapomniane uczucie oczekującej, wspaniałej, tajemniczej przygody znów do niej wróciło, po tylu latach! Kiedy ogłoszono, że w Port Saidzie pasażerowie mogą zejść na ląd i organizuje się dla nich całodniową wycieczkę pod piramidy – powiew egzotycznej przygody był tak silny, że Mary zaparło dech. (…)

Gordon zażyczył sobie odwiedzić sklep złotnika i Mary wiedziała, dlaczego: zbliżały się jej urodziny. Potem zdecydowali przejść się po starożytnych uliczkach na piechotę. Przewodnik szedł z tyłu, prowadząc za sobą konia i bryczkę. Szli nie spiesząc się, rozglądając się i smakując całą niezwykłość otoczenia. Nagle z jakichś drzwi wynurzył się młody Arab w szkarłatnym fezie na głowie, w szacie przewiązanej w pasie jedwabnym sznurem z frędzlami. Wyglądał jak prawdziwy arabski Szejk, wojownik pustyni prosto z kinowego ekranu, *dar bogów dla każdej kobiety*, pomyślała romantycznie Mary. (…)

Port Said to była przygoda. Nigdy nic podobnego już nie zobaczą. Ale bez głębszego wnikania w ciemne tajemnice Wschodu mogą się świetnie obejść.

Równik przekraczali z wielką pompą. Na górnym pokładzie królował brodaty Neptun z orszakiem lekko owłosionych – przy bliższym przyjrzeniu się – Syren. Z dużym hałasem wybierano najpiękniejszą pasażerkę spomiędzy kilkunastu rozchichotanych dziewcząt. Wybrana otrzymywała prawo zasiadania do końca rejsu przy kapitańskim stole. Uroczyście wręczono wszystkim Grantom – zagubionym wśród całej rzeszy innych podróżnych – świadectwa przekroczenia Równika.

Rozdział 3 ukaże się w poniedziałek 27 marca 2017 r.

Miłość po szkocku. Prehistoria – kiedy życie było proste.

Glasgow na dawnej fotografii. Stacja kolejowa.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Anna Habryn

Rozdział 1

Ma na imię Mary. (…) Wychowała się w Glasgow, w przemysłowym, zadymionym mieście, nad rzeką Clyde, którą spływały ścieki z wielu fabryk, między innymi ze stoczni Goran, tej, w której zbudowano wielkie pasażerskie transatlantyki – królowe „Mary" i „Elizabeth". Były lata trzydzieste. (…)

Mieszkańcy Glasgow – twierdzi Mary – potrafili się bawić, mieli swoisty wdzięk i poczucie humoru. Większość mężczyzn umiała śpiewać i grać na akordeonie. Jeśli nie mieli pod ręką żadnych instrumentów, wkładali między palce rąk suche kostki baranie i wybijali nimi rytm niby grzechotkami. Często tak grali i śpiewali w pogodne letnie wieczory. Śpiewali o Szkocji, Szkoci bowiem zawsze śpiewają o Szkocji, w kółko o zielonych łąkach i polach rodzinnych. Większość z nich zresztą nigdy nie ruszała się z miasta i nigdy nie widziała tych gór, o których śpiewali, bo sąsiedzi Mary nie byli podróżnikami i jeśli ktoś z nich kiedyś dotarł do Londynu, uważano, że widział już cały świat. (…)

Dzieci dookoła było dużo i życie na podwórku wrzało. Rzadko kto miał zabawki, a te dzieci, które je miały, strzegły ich jak najdroższych skarbów. Ale od czego pomysłowość? Dwie puszki po konserwach, ze sznurkiem przewleczonym przez dziurki w ściankach – i już mieli *puszki-chodaki*, na których człowiek czuł się taki wysoki, oczywiście, jeśli potrafił utrzymać równowagę. Skakankę robiło się z kawałka linki do wieszania bielizny. (…)

Charlie, jej mały brat, był częścią jej życia od zawsze. Opiekowała się nim, chroniła go, i matkowała mu. Brał udział w jej zabawach i psotach – z konieczności i z natury rzeczy. (…)

Właściwie, dla Mary wojna zaczęła się dopiero, kiedy pierwsze bomby spadły na Govan. Mieszkali tylko o dwie mile od stoczni, która była pierwszym celem Luftwaffe. Dorośli mówili między sobą: *O nie, Germańcy nigdy nie przejdą przez Kanał Angielski. Stary Churchill będzie ich bił na plażach, a my wytępimy ich na brzegu.* Nie wiedziała, o czym mówią, ale miała szybko spostrzec, że świat się zmienił. (…)

Mary zawsze najbardziej lubiła wczesne wieczory, zanim jeszcze trzeba było wracać do domu na kolację. Ale teraz coraz częściej wyły syreny i wszyscy szli do schronu. Po drodze, czasem widziała samoloty i – przysięga na to – lecące z nieba bomby. Wszystko było fascynujące. Wczesnym rankiem ludzie grzebali w gruzach szukając resztek swojego dobytku. Wszyscy opowiadali sobie, gdzie spadły bomby ostatniej nocy.

Któregoś jesiennego dnia (*to było 1 października 1940* – mówi Mary), w słoneczne, jasne popołudnie, Matka zawołała ją z okna. W jej głosie było coś tak dziwnego, że Mary popędziła najszybciej, jak mogła. Mama szlochała, skulona na klęczkach, na podłodze, w kuchni.

– Twój tatuś nie żyje!

Mary zapytała niepewnie:

– Co to jest „nie żyje”?

Mama zajrzała dziecku w oczy i zastanowiła się chwilę:

– To znaczy… poszedł do nieba.

To brzmiało lepiej. Mała objęła matkę rączkami za szyję i powiedziała:

– Nie płacz, znajdziemy drugiego.

(…)

Z dnia na dzień życie zmieniało się na gorsze. Matka sprzedała stopniowo wszystkie meble, ze wspaniałym pianinem na czele. Zabawki Charliego i Mary zniknęły z domu już dawno. Żywność kupowano na kartki. Cukru brakowało, używano sacharyny. Kobiety nauczyły się gotować zupy bez mięsa, na odrobinie margaryny. Cała Szkocja jadła owsiankę, której Mary nienawidziła. Osiągalna była ryba – i kości, tylko kości.

W okolicach Bożego Narodzenia bywało ciężej, niż latem. Dzieci kochały śnieg, robiły z niego bałwany, ale kiedy topniał, buty przemiękały natychmiast. Miewali oboje z Charliem okropne bąble na stopach, które próbowali suszyć i ogrzewać przy kominku.

Węglarz przychodził raz w tygodniu. Węgla było w ogóle mało. Niedaleko ich domu zaczynała się najuboższa dzielnica miasta. Ludzie tam wiedzieli, kiedy przybywały pociągi z węglem i wtedy kto żyw ciągnął na tory: mamy, babcie, nawet pięcioletnie dzieci, wszyscy zbierali drobny węgiel rozsypany na torach. Ładowali go do starych wózków dziecinnych i taczek. Kobiety miały fartuchy pozszywane brzegami jak torby i zginały się pod ich ciężarem w pół, ale to nie węgiel pokrywał pyłem ich twarze, one były zawsze smutne i postarzałe przed czasem.

Dla dzieci wszystkich wyznań jednakowo, Boże Narodzenie było okazją jedyną w roku. Dzieci życzyły sobie choinki i prezentów, takich jak w domach kolegów i na wystawach wielkich sklepów.

Mary przypomina sobie, jak tuż przed którymiś świętami podczas wojny odkryła w szafie przygotowane dla niej i Charliego paczki. Bardzo żałowała wtedy swojej ciekawości. Marzenia i oczekiwania były o niebo piękniejsze niż rzeczywistość: szmaciana lalka, dwie mandarynki, czekoladowe pieniążki – i to wszystko. Miała jeszcze nadzieję, że do świąt jej paczka się powiększy. Niestety. Była zawiedziona, ale nie pisnęła słówka, bo dostałaby solidnego klapsa, gdyby matka wiedziała o jej myszkowaniu po szafach.

Święta były i tak ciekawe, bo szkoły i teatry wystawiały przedstawienia dla dzieci, jasełka, musicale i pantomimy: występowali prawdziwi artyści, światła i muzyka wzruszały do łez, nawet jeśli się nie rozumiało ich sensu i nikt nie zadał sobie trudu, by ten sens wyjaśnić.

Po jednym takim przedstawieniu Mary postanowiła, że kiedy dorośnie, zostanie artystką. Najlepiej tancerką.

Ogólnie – życie było piękne.

(…)

Matka była zawsze otoczona rojem mężczyzn różnych narodowości, miała w czym wybierać. Chodziła z sympatycznym Kanadyjczykiem, nawet korespondowała z jego rodziną w Kanadzie, ale zabito go na froncie. Potem był Henry Lang, oficer brytyjskiej marynarki, też miły, ale Mama stwierdziła, że jest niepoważny. Następny,

Bill Johnson, był prawdziwym dżentelmenem, ale nie umiał tańczyć. A potem pojawił się Jan Rogacki, Polak, olbrzymi, przystojny marynarz o łagodnych, brązowych oczach.

– Ciekawe – mówi Mary – Jan też nie umiał tańczyć, a jednak matka zaręczyła się z nim.

Mary i jej brat Charlie.

Mary i Charlie zobaczyli Jana pierwszy raz w 1942 roku. Jego okręt „Błyskawica”, przypłynął do Broomilaw dla przeprowadzenia przeglądu technicznego i niezbędnych reperacji. Jan poszedł z kolegami do klubu dla cudzoziemskich marynarzy i tam zawarł znajomość z dwiema Irlandkami, siostrami, które z kolei zapoznały go ze swoją przyjaciółką. Nazywała się Sheila Ross (Catherine, ale kazała mówić na siebie

Sheila). Była samotną matką z dwójką dzieci. Stracił dla niej głowę od razu.

Mary była nim zachwycona. Był łagodny, nie mówił wiele, podziwiał, kiedy popisywała się dla niego tańcem, przynosił im czekoladę. Matka dostawała od niego jedwabne pończochy i podarunki ze wszystkich portów, do których „Błyskawica" zawijała w swoich rejsach.

Jan nie był jedynym Polakiem na horyzoncie. Ciotka też chodziła na randki z jakimś polskim żołnierzem. Jan pojawiał się na przepustkach dość często i zawsze coś przynosił. Matka rzuciła pracę i zaczęła napomykać, że Jan będzie ich tatusiem. Znowu spali w normalnych łóżkach, jadali regularnie posiłki, a dom był czysty i wysprzątany. Wraz ze swoją wypłatą Jan wnosił do ich życia normalność.

W wolnych chwilach majsterkował. Nie miał wprawdzie narzędzi, ale i tak potrafił zrobić stolik do kawy, na trzech nogach. Zrobił ich kilka, a Mary sprzedała je swoim koleżankom w szkole, po siedem szylingów i sześć pensów – to był majątek!

Jan potrafił zrobić sidła i złapać w nie gołębia. Pieczone gołąbki – to był prawdziwy rarytas na ich stole. Jan postarał się o nowe ręczniki i pościel, a koce na pewno pochodziły z „Błyskawicy", no bo skąd? Były wprawdzie niewielkie, ale Mary znowu było w nocy ciepło. Te koce miały jej służyć przez całe lata. Jadąc do Australii też zabrała je ze sobą.

Któregoś dnia Jan przywiózł hamak. Powiesił go na podwórku, na hakach wbitych z jednej strony w ścianę komórki na węgiel, a z drugiej do muru schronu przeciwlotniczego, ponad workami z piachem. To była najpiękniejsza huśtawka w całym Glasgow! Hamak mógł pomieścić jednocześnie nawet trójkę dzieci. Mary lubiła się na nim kołysać – i marzyć, patrząc na przepływające obłoki. Spokój nie trwał jednak długo. „Błyskawica" popłynęła gdzieś daleko, a matka wymyśliła coś nowego.

Mary miała zaledwie osiem lat, a Charlie sześć, kiedy matka zgłosiła się na ochotnika na wyjazd do Anglii. Była dobrym fachowcem, pracowała jako operator dźwigu, ale nie musiała nigdzie wyjeżdżać, każdy by zrozumiał, że jej dzieci potrzebują jej na miejscu. Nie: pojechała. Nawet nie zgodziła się, żeby ją Charlie odprowadził na stację, bo dzieciak nie miał odpowiedniego ubrania. Przyniósłby jej

wstyd. Oczywiście, nie zostawiła ich na łasce losu, powierzyła ich opiece swojej siostry, Christine. Właściwie Mary nawet lubiła tę ciocię. Tylko że ciocia Chris była sama w trakcie rozwodzenia się z mężem, a jej własny synek został umieszczony w domu dziecka z powodu zaniedbania.

Owa „opieka” wkrótce się cioci znudziła. Zaczęło się od wyprzedaży resztki mebli. Zniknęły też zabawki. Spali na podłodze i trzęśli się z zimna, bo nie mieli ciepłej odzieży. Pożerały ich pchły, wszy i świerzb. Mary płakała gorzko, kiedy ścinano aż do skóry jej gęste blond włosy. Charliemu też ogolono głowę. Dzieci w szkole wyśmiewały się z nich, toteż Mary przestała chodzić do szkoły. Wagarowała całymi tygodniami. Próbowała napisać do matki, nie dostała odpowiedzi.

Matka przysyłała ciotce co tydzień 10 szylingów na utrzymanie dzieci. Ciocia, tak jak przedtem mama, wręczała Mary pieniądze i listę zakupów – i Mary musiała wystawać w kolejkach po żywność.

Któregoś tygodnia, wychodząc na zakupy, Mary zjeżdżała po poręczy schodów. Banknot wypadł jej z ręki i wyfrunął przez otwarte okno porwany przeciągiem. Przez godzinę czołgała się na czworakach po ulicy, bezskutecznie szukając swojej zguby. Ciotka wpadła w furię, bo pierwszą pozycją na liście zakupów były zawsze jej papierosy. Wrzeszczała: „Nie kłam, gdzie masz pieniądze, ukradłaś, gdzie schowałaś?!” Zamknęła Mary w pokoju na pół dnia, bez jedzenia i picia, a wieczorem pojawiła się w drzwiach z trzcinową trzepaczką. Zbiła dziewczynkę tak mocno, że krew spływała jej po nogach. Zachowywała się, jakby oszalała, aż ktoś z sąsiadów z dołu usłyszał awanturę i interweniował.

Następnego dnia Mary poszła do szkoły – i dopiero wtedy podniósł się krzyk. Nie wyglądała pięknie ze swoją łysą głową w bandażach, z siniakami i otwartymi ranami na nogach. Postanowiono, że Mary i Charlie zostaną ulokowani w domu dziecka. Ich matka pojawiła się w samą porę – po dziewięciu miesiącach nieobecności.

Niestety, szczęście trwało krótko: po tygodniu pojawił się również matki świeżo poślubiony mąż. To nic, że była zaręczona z „głupim Polakiem”. Jan leżał ranny w Algierze, a ona wyszła za angielskiego marynarza z Birmingham. To był awans społeczny.

Marynarz nienawidził dzieci, a co gorsze, był komunistą i bił matkę, a Mary gryzła go i kopała krzycząc: „Zostaw mamę, daj mamie spokój!” – aż przyjeżdżała policja. Małżeństwo rozsypało się wkrótce, ale rozwód matka dostała dopiero po wojnie, kiedy wrócił Jan. I jeszcze musiała przy rozwodzie wziąć na siebie winę cudzołóstwa…

Los jest złośliwy – myślała Mary później, kiedy rozpamiętywała tę historię.

Ciotka Chris, która tak ją zbiła, miała długo wyrzuty sumienia. Na 12 urodziny, już po wojnie, kupiła Mary najwspanialsze wrotki, jakie można było dostać w sklepach. Mary jeździła na nich po ulicach jak szalona, skakała w górę, robiła salta i obroty w powietrzu. Czuła się jak Sonia Heine. Nie rozstawała się z wrotkami nawet w nocy, kładła je pod poduszkę. Niestety, jej swoboda trwała krótko. Niedługo potem musiała się zająć małą siostrzyczką.

Sandra urodziła się w roku 1946, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia, kiedy jej ojciec, czyli Jan Rogacki, omal nie stracił życia na morzu. Ważyła dziewięć funtów i miała oczy jak Jan. Ojciec trzymał ją w rękach wysoko nad głową, tak, jak sportowcy prezentują swoje puchary stojąc na podium zwycięzców – i obwieszczał światu radośnie: *Moja kochana Sandrianna Rogacka!*. Mary czuła się szczęśliwa, jak nigdy w życiu.

Maleńka siostra była dobrym dzieckiem. Nigdy nie płakała i była śliczna. Mama robiła jej kaftaniki na drutach. Ojciec kupił maszynę do szycia, a że Sheila nie umiała nawet nawlec igły, Mary z dumą pomagała jej opanować tajniki szycia, jako że tego nauczono ją w szkole. W końcu wspólnym wysiłkiem sporządzono nie tylko sukieneczki we wszystkich kolorach tęczy dla Sandry, ale i dwie spódniczki dla Mary, jej pierwsze od lat nowe sukienki!

Jana zdemobilizowano w 1947 roku, a w październiku 1948 Sheila i Jan Rogacki wzięli ślub. Wyprowadzili się do Kirkcaldy. I tak skończyła się epoka Glasgow – i dzieciństwo.

Rozdział 2 ukaże się w poniedziałek 13 marca 2017 r.

Miłość po szkocku. Prolog.

Warszawa, Plac Zamkowy

Fragment powieści polskiej pisarki z Perth (zachodnia Australia) opartej na historii mieszkającej w Australii Szkotki Mary, która zakochała się w Polsce, dzięki ojczymowi Polakowi. Jej przybrany ojciec, w powieści Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), podczas II wojny światowej pływał na słynnym kontrtorpedowcu ORP „Błyskawica”.

Anna Habryn

Siedziała w taksówce, która wiozła ją do centrum Warszawy, słuchała jak kierowca swoją kulawą angielszczyzną objaśnia jej znaczenie miejsc i budynków, które mijają – i myślała:

Dlaczego czuję takie patriotyczne wzruszenie? Jakbym była w domu, jakbym urodziła się w tym kraju. Przecież łączy mnie z nimi tylko taka cieniutka nić, jeden człowiek…

Gdybym Janowi o tym opowiedziała, pewnie by tego też nie zrozumiał.

A przecież tą pielgrzymką do Polski oddawała mu cześć, deklarowała, że stoi po jego stronie, że opowiada się za tym wszystkim, czego on się dobrowolnie wyrzekł. Czuła w sobie na myśl o Janie święty gniew. Zrezygnował z siebie samego, głupio i lekkomyślnie… Tak, jakby zaprzedał swojej Sheili własną duszę w zamian za gwarancję szczęścia i miłości. Tylko, że Sheila nie dotrzymała umowy! I dlatego ona, jej córka, musi Janowi zwrócić część tej zapłaty, to, co da się jeszcze ocalić.

Pojechała na Stare Miasto, zatłoczone tłumem turystów. Chodziła wśród obrazów rozstawionych pod ścianami domów i na środku, w pełnym słońcu, wśród akwarelowych i olejnych pejzaży i widoków Warszawy sprzedawanych wcale nie za takie grosze. W starej baszcie, w sklepie przypominającym Sezam, oglądała cudnie przejrzyste bursztyny. Wchodziła do mrocznych kościołów pełnych rzeźbionych ołtarzy, i stalli, i chórów, i kazalnic, i organów, a wszędzie trwało ciągłe nabożeństwo.

W jednej z wąskich uliczek brukowanych kocimi łbami usłyszała nikły, wibrujący dźwięk akordeonu. Sama kiedyś próbowała grać na akordeonie. Poczuła ciepło w sercu. Rozejrzała się. Na chodniku pod ścianą siedział chłopiec w łachmanach, cygańskie dziecko, i grał piosenkę, której angielskie słowa dobrze pamiętała:

> *Oh, how we danced on the*
>
> *Night we were wed…*

Tę piosenkę grano podczas jej własnego ślubu. Musiała podejść bliżej, jakby pociągana nitką dźwięków. Idąc, powstrzymywała nogi, żeby nie pląsały zbyt wyraźnie w rytm walca, przecież to nie wypada. Jej oczy lśniły jak gwiazdy, kiedy dawała chłopcu wielką garść drobniaków. Odpowiedział uśmiechem równie radosnym, jak jej własny.

Kupiła sześć lalek w ludowych strojach i jeszcze kilka drobiazgów z kryształu. Drewnianą płaskorzeźbę z godłem Orła Białego – dla Jana. I kilka polskich proporczyków. I wisiorek z bursztynu – to dla siebie. Talerz z namalowaną Syrenką, której polskiego imienia nie znała, ale wiedziała, że to symbol Warszawy i że słowa

wyryte na obrzeżu znaczą: *Warszawa zawsze wolna.*

Rozważała przez chwilę pomysł przejechania się dorożką, ale zarzuciła go, bo poczuła się głodna. Nie, dość już polskiej kuchni. Znalazła pizzerię, gdzie podano jej coś znanego i pewnego – i do tego piwo.

Potem znów wyszła w słońce.

Wędrowała wśród tłumu turystów fotografujących wszystko. Wiedziała, że Starówka jest tylko rekonstrukcją, odbudowaną z ruin. Ale w zachowanych gdzieniegdzie fragmentach starych ścian widziała autentyczne dziury po niemieckich kulach. Te kule zabijały tu niegdyś ludzi, zwykłych ludzi. Dobrze, że te znaki zostawiono dla przyszłych pokoleń, aby wiedziały. Czuła, że to miejsce, tak pieczołowicie odbudowane ze szczątków, jest święte. (...)

Zeszła nad Wisłę, w dół po zielonym stoku. Woda płynęła spokojnie. *To byłby piękny obraz, gdyby go namalować, z dołu patrząc na ten most* – pomyślała. Jacyś chłopcy próbowali łowić z brzegu ryby.

Przypomniały jej się dzieci, które spotkała podczas porannego spaceru koło hotelu. Zapytała je, gdzie jest najbliższy przystanek autobusowy. Chciała po prostu nawiązać rozmowę. Powiedziała, wskazując na siebie:

-Nie polskie, *Scottish*.

Obstąpiła ją cała czwórka. Znały kilka angielskich słówek i prześcigały się w wysiłkach, żeby się z nią porozumieć. Udało im się nawet dać jej do zrozumienia, że przejęły się śmiercią księżnej Diany. Mary bawiła się tą rozmową znakomicie. Powiedziała im, że jest z Australii i nawet spróbowała naśladować kangura! Pękały ze śmiechu. A potem już musiały iść.

-Do widzenia pani – powiedziały. – Szkoła.

Patrzyła za nimi, pewna, że tego dnia będą miały co opowiadać nauczycielce.

A teraz pomyślała obserwując małych urwisów nad rzeką: *Dzieci są nie skażone przeszłością, szczęśliwe i mają wielką, wspaniałą przyszłość przed sobą.*

Siadła na trawie, w cieniu drzewa, wyciągnęła z torebki długopis i nabazgrała na skrawku papieru: *Vistula*…, nie, polskie słowo *Wisła* będzie lepsze:

Wisła, Wisła, daleko płyniesz

Od Krakowa do Bałtyku.

Z warszawskiego mostu w dół

Moje oczy śledzą nurt.

Myślę o twoich synach

Zabitych wiele lat temu.

Walczyli, żeby cię bronić

Wolność dla Polski – krzyczeli

Swoim ostatnim oddechem.

Bracia i siostry

Trzymajcie głowy wysoko

Polska jest wolna

Polska nigdy nie zginie.

Przyjrzała się temu tekstowi. Tak, to było to. Była z siebie zadowolona.

Kiedy wspinała się z powrotem pod Barbakan, przy schodach wiodących do góry zobaczyła posąg powstańca, żołnierza. Stał na małym, białym cokole, w hełmie, z karabinem. Było w tym widoku coś znajomego. Chwilę trwało, zanim zrozumiała, co to takiego – i struchlała. Rozejrzała się dookoła i ze zgrozą zobaczyła, że to „coś” jest wszędzie: graffiti. Czarną farbą, na starych, poranionych kulami ścianach, na nowych białych domach, na cokołach pomników. Najobrzydliwsze słowa, ozdobnie przybrane w zawijasy, albo brutalnie proste, grube, bez osłonek. Dobrze jej znane.

Starszy pan, z trudem wspinający się po schodach, z laską w ręku, przystanął koło niej, zdyszany. Popatrzył na nią, za jej wzrokiem, na ten pomnik powstańca z ozdobnym *„Fucken”*… a potem powiedział z ironią:

-No cóż, cała młodzież uczy się dziś angielskiego.

Nie zrozumiała jego słów. Potoczył laską dookoła:

–*English* – powiedział.

To było tak, jakby ją uderzył. Chciała wytłumaczyć: ja jestem Szkotką… ale nie powiedziała nic. A on pokiwał głową – i poszedł dalej.

Dalszy ciąg ukaże się w poniedziałek 27 lutego 2017 r.